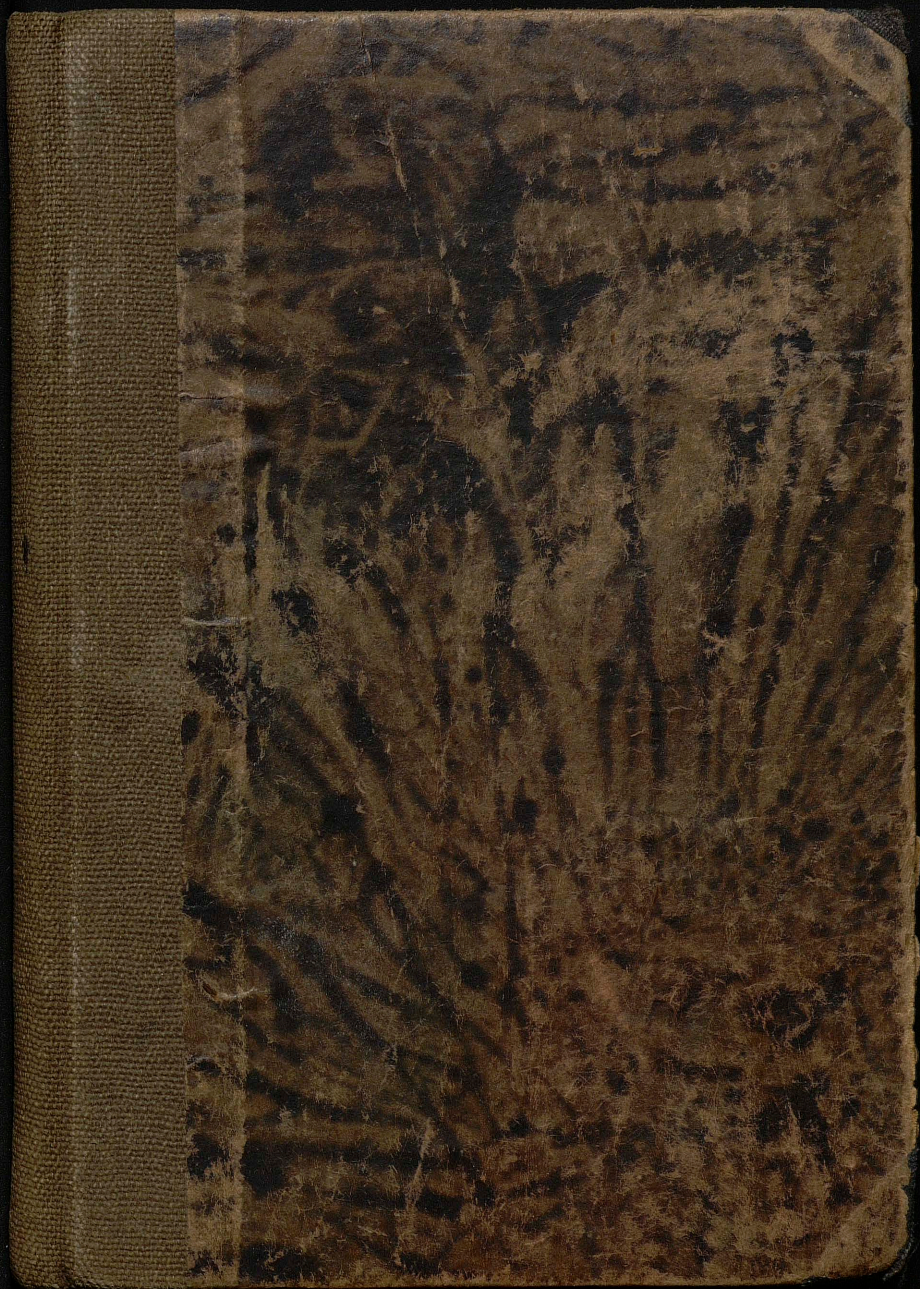




Kochanaj Koni

21

DYMY



512 688

200
MARJA CZESKA-MĄCZYŃSKA

D Y M Y

POWIEŚĆ

WINIETA OKŁADKOWA J. RYBCZYŃSKIEJ

~~26011~~



NAKLAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAN — WARSZAWA — WILNO — LUBLIN



TYŁOCZONO W Drukarni św. Wojciecha w Poznaniu
na papierze z własnej fabryki papieru „MALTA”

ROZDZIAŁ I.

Nie miał już siły iść dalej. Głód i przebyta niedawno choroba zesłabiły go tak, że poprostu czuł, jak nogi się pod nim uginają, rozłaża, obce jakieś nieswoje. Byle jeno do chałup dojść. Przenocują i nakarmią, wzmocnieje może i będzie mógł iść dalej, do swoich...

Byle tylko...

O! ten wzgórek tylko jeszcze jałowcami zarosły i potem już prosta droga do wsi, do ludzi.

A przed oczyma jakgdyby nagle zapłonęła łuna pożaru, krwawe, czerwono-złote koła i kółka...

Nie może dalej, nie zdoła...

Usiadł.

Szeroko rozwartemi, pół przytomnemi oczyma patrzył, jak za policą krwawiła zorza zachodu i odblaskiem purpury staczała się wdół ku rzece, barwiąc ją czerwienią i złotem.

Od wsi szedł gryzący swąd dymów, co ku ziemi lgnęły, rozsnuwały się nad polami, drapały w gardle i z oczu pragnęły wykraść łzy.

Wieczerze gotują po chałupach...

Przelyk wędrowca skurczył się nagle, szczęki ścięły, wezbrały ślina, głodny żołądek zakruczył,

pod powiekami zjawił się obraz dymiących ziemniaków wywalanych z garnka na misę.

— Cóż wam to?

Pytanie wyrwało go z połowicznego omdlenia. Stała przed nim dziewczyna młoda, zgięta pod płachtą niesionego koniczu do ziemi prawie, rosła i silna, nie grzeszyła urodą, w opalonej twarzy znaczyły się usta grube, nosek śmiesznie mały, zdawał się naklejony w środku twarzy, oczy czarne, patrzące pocziwie, ginęły prawie pod wypukłym czołem.

— Cóż wam to? — powtórzyła pytanie. — Chorzyście?

Skinął głową, bo mówić nie miał sił, nagle ogarnęła go z martwością graniczna apatia, będzie co będzie, przyjdzie mu tu zdechnąć z głodu u progów ludzkich osiedli, to i zdechnie, wszystko jedno...

Pochowają chociaż wśród swoich.

Dziewczyna patrzyła mu w twarz z mieszaniną współczucia i obawy.

— Kto go ta wie co za jeden. — Myślała: „Do chałupy przyprowadzi, a może przenocuje, skrzepnie i wymorduje... kto ta wie... Rozmaici teraz ludzie po tej świętej ziemi łażą.“

Pod wpływem tej myśli zwróciła się ku drodze, ale i nawróciła zaraz, „bo iakoż tak człowieka ostawić, przez nijakiej pomocy“, a przysięgła ta młoda, wychudzona na szkielet twarz, co odcinała się teraz od wrzosowiska martwą prawie bielą, nie miała w sobie nic z bandyty ani zbrodniarza, przygasały oczy pod ciężką powieką błękitne były i głębokie w tonie, jak lipcowe niebo.

Janielcia Wielgusówna przykucnęła na wrzosowisku:

— Dacie rady iść, podepre was, hań, za rzeką nasza chałupa. Skądście są?

Rozwarł usta i zamknął je bez dźwięku, wreszcie przemówić zdołał:

— Z niewoli wracam... ze Sycylii... piechota szedłem i... brakło sił.

Zafrasowała się.

— Wy, nie z chłopów?

— Nie.

— I nie z robotników?

— Nie...

Spojrzała ku niemu zaciekawiona, ogarnęła ubranie, rozłazące się w szwach buty, ze szczatkami podeszew, czapkę zmiętą, oficerską czapkę, i uśmiechnęła się dziwnie:

— Cie! Na co wam to przyszło... Jezusie...

On milczał, zaczynała mu ciężać jej ciekawość, bolało go spojrzenie, stwierdzające jego nędzę. Od chałup powiał dym, woniejący jałowcem i zapach chleba kędyś pieczonego uderzył zaostrome głodem powonienie.

O! chleb, świeży, czarny, wonny chleb!

I ta męka, rozrywająca wnętrności, skręcająca je bólem. Ten głód...

Janielcia rozważała coś, wreszcie szepnęła:

— Poczkanie tu krzynkę, jeno konicz ku chałupie zaniesę, to wrócę po was.

Chciał jej powiedzieć, by przyniosła chleba, i nie mógł się zdobyć na tę prośbę; utknęła mu w gardle.

Poszła.

Opadł na wrzosowisko, zdawało mu się, że zamiera w tej ciszy wielkiej, ogarniającej świat. Objęła go woń świeżo spadłej rosy rzeźkim powiewem, zapachniały jodły i świerki, szedł wieczór w górach, cichy, wonny, błogosławiony spokojem.

Rozdzwoniły się kędyś dzwonki krów pędzonych w doliny, zapachniało świeżym udojem, niesionym w nabrzmiątych wymionach, — i znowu cisza.

Nawet uczucie głodu ustąpiło.

Jeżeli to śmierć, jakże dobra i piękna!

Zamajaczyła mu w pamięci daleką wizję, zjawiała się dziecinny pokój, z barwnymi figurynkami holenderskich dziewczuszek, zawodzących po ścianach niewstrzymany nigdy i niczem tan. Pogodne dzieciństwo, pieśczęty ojca, matki; kochano go, psuto nawet. A potem szkoły, zawsze dobrobyt, zawsze przepych i nadmiar. Ojciec był pułkownikiem w małym garnizonie, mały Janek miał konie własne, zawsze mający za nim opiekunicy cień żołnierza, wyprężonego jak struna. Minęło...

A potem świetny porucznik ułanów, życie bujne, młode, lśniące, beztreściwe, a potem wojna, niewola, ucieczka, głód, łachmany, nędza, poniewieranie się po cudzych progach i tęsknota pęczniejąca do bezmiaru, tęsknota do swoich!

Wolna ojczyzna!

Porucznik Sulimirski nie miał zbyt głęboko zakorzenionego umiłowania Ojczyzny, mimo że starszylacheckie nosił nazwisko i na biletach wzytowych z przyjemnością kazał sobie tłoczyć ro-

dzinny herb Strzemię. Polska, było to dla niego coś tak nierealnego, nieznanego, nieokreślonego... Zdziwił się też sam sobie niepominiem, że gdy tam, na obczyźnie, przeczytał, że Polska znowu żyje, wzruszenie go z potężną mocą schwyliło za grdykę, a oczy nabiegły łzami. Odczuł wtedy przynależność do kraju, łączność z jego dolą i niedolą i chęć powrotu pchnęła go naprzód.

Do swoich!

Pisał do ojca z drogi list jeden, drugi, odpowiedzi nie było, pisał do matki o pieniądzu, i znowu nic. Czyżby już nie miał domu? Czyżby zniknęli gdzieś bez wieści ci jego ukochani?

Przeszedł piechotą o żebranym chlebie Włochy, Jugosławie, Węgry... niosąc ze sobą swoje cierpienie. W czasie ostatnich walk spadł z konia; rana zagoiła się prędko, ale może odłamek kości pozostał i naciskał na mózg, powodując epileptyczne ataki, dość że coraz częściej ogarniał go ten straszny lęk, poprzedzający atak, a potem znikał wprost w uczuciu nieznanego rozkoszy, budził się z tej rozkoszy pokrwawiony i posiniony, wyczerpany i nieszczęśliwy z jedną tylko tęsknotą... do swoich!

Och! przecież jak powróci, ojciec umożliwi mu leczenie, usuną może ów odłamek kości, a tem samem chorobę.

I oto był wśród swoich.

Dziwne, tam wśród obcych, bez zająknięcia wypowiadał swoją prośbę o chleb, a tu, wykrztusić jej nie mógł, ugrzęzła mu w przełyku, nie mogła przejść przez drżące wargi. Tu się swojej nędzy wstydzil.

O, las tu inaczej szumi, inaczej gwarzą trawy, wichrem rozkołysane.

Wrócił...

O, teraz wszystko złe legnie poza nim, jak sen przykry, bolesny, jak sen tylko.

I zamarzyły mu się matki miękkie dłonie, ogarniające mu twarz pieszczotliwie i w poszumie lasu, głos mu się snuł szepczący:

— Synku.

O, do tych kolan się przytulić, wszystko zapomnieć, zapaść się w nicość, w niepamięć, w śmierć.

— Pójdźcież.

Wzdrygnął się, jak zbudzony ze snu; to Janielcia Wielgusówna podawała mu szorstką, twardą, spracowaną rękę.

— Oprzyjcie się na mnie, a mocno.

Szedł, a każdy krok stawał mu się jakimś nadmiernym trudem.

— Rozchoruje się, czy co? — błysnęło w myśli.

Zatrzymał się...

— Słuchaj... zostaw mnie, może umrę, narobiłbym ci kłopotu. Najlepiej zostaw...

— Tyż coś! Chcielibyście wedle płotu ginać, jak ten pies!

Oburzyła się z głębi duszy.

— A cóż my to nie chrześcijany, czy co? Żeby chorego ostawiać bez pomocy. A cóż my to nie ludzie!

Niosła go prawie, silna i krzepka wlokła go, jak przedtem brzemień koniczu, pot ją oblał, ale niosła wytrwale. Posadziła go na ławce przed domem, oparł głowę o ścianę.

Odbiegła go wszelka myśl i wszelka wola, nie słyszał, jak go stary Maciej Wielgus, zwany „bożyczek“, powitał, zdejmując wyświechtaną czapkę z rozkudłaczonej głowy siwej:

— Niech będzie pochwalony Pan nasz Jezus Chrystus.

Stary długo na gościa patrzył w milczeniu, a potem do córki się zwrócił:

— Na umrzyka patrzy, Janielciu, do świętej ziemi go ciągnie, nima co...

— No... Dyć widzicie, niesposób go było w polu ostawić, możeby zmarniał do cna.

— Ano juści, i tak źle i tak niedobrze.

Stary westchnął, po głowie się poskrobał i do przerwanej roboty wrócił.

— Nalazłaś se go, to se go i opatruj — myślał. — Nic mi ta do tego, kuźdy niech se swojego patrzy, Janielcia swojego umrzyka, a ja świętej Jagnieszki.

Ociosywał właśnie z grubsza świętą Anieszkę, co miała stanać, hań, na Marcina Gibały obejściu, zrobił już swoim zwyczajem malušką, jako jabłko okragłą główkę na kulistym korpusie, wyciosał nos, nikiej Janielcin ku niebu sterczący dwoma otworami, a teraz oczy pomalusińku dłużył, by były wystające, jak się patrzy. O! stary Wielgus znał swój fach, wszystkie figury w okolicy, przy drogach i na cmentarzach, przez niego były „piknie“ wyciosane, jaskrawo pomalowane, że się zdaleka w oczy rzucały swoją niesamowitą krasą. A już co najstraszniej rzeźbić potrafił, to owe Pana Jezusowe upadki, co wszędy po drogach ludzie pobożni fundowali. Maciek Wiel-

gus robił zawsze kapliczkę z drzewa, podobna jarmarcznej budzie, a we środku ustawiał w kamieniu kutą figurę Pana Jezusową, taką strasznie boleściwą, wyglądającą przez okienko budki na ten świat „grzeszny“ że każdego człowieka lęk brał, a cóż dopiero grzesznika. Talent, to talent! Zalał Maciek Wielgus całe Podhale owemi upadkami, jednym od drugiego straszniejszymi.

Jeno, że każdy człowiek ma zwykle swój grzech, więc i Maciej Wielgus miał swoją wódkę, jak podpił, rzeźbiło mu się lepiej, ale krzywo. W świętą niedzielę zawdy do kościoła szedł, ale potem, to go jakoś same nogi do karczmy niosły, jako że nawykły chodzić w tamte strony od młodości. Ksiądz proboszcz nieraz wyrzucał Wielgusowi jego niedzielne wyprawy, stary kręcił się wtedy, wzdychał, czerwienił, jak chłopiec i po nabożeństwie, jak w dym do karczmy walił, trudno, proch spłókać musiał, co mu się w gardle osiadł od kamieniarskiej roboty, a ten, jego zdaniem, jeno gorzałka spłókiwała do czysta. Wigor mu wtedy wstępował w kości, śpiewający sobie ku chałupie szedł, a że chałupa była za wodą, to się często skąpał niechcący. Żeby tylko w niedzielę, ale pomalu coraz więcej trzeba było wódki i stary Wielgus nigdy już spać bez flaszczyny nie poszedł, dusił ją pod pierzyną, jak dziecko smoczek, aż mu się po kościach rozlała ołowiem i sprowadzała niespokojny, wypoczynku nie dający, pijacki sen. I żarła go ta gorzałka, oczy mu świeciły gorączką, wychudł na szczapę, chłop nie był jeszcze stary, bo pięćdziesiątki nawet jeszcze nie mający, a już ręce mu się trzęsły, dygotały nogi, i jak się rankiem łykem z flaszczyny nie skrze-

pił, to już i do żadnej roboty zdolny nie był, wszystko mu z rąk leciało.

Janielcia z matką obie dbały o to, by flaszczyna ojcowska nigdy próżna nie była, robota szła i spokoj był w domu, a że się człowiek równocześnie spalał, że z każdym kieliszkiem wódki do grobu się staczał, to o tem nie myślały.

Ot, byle spokój był.

Więc Maciej Wielgus pił i rzeźbił, rzeźbił i pił, a że mu się przed oczyma dwoiło, więc kuł na wieczną rzeczy pamiątkę koślawe litery i jeszcze koślawsze figury i odziewał swoje „Bożyczki“ szatami tak jaskrawemi, malował im takie rumieńce równiutkie jak kółka, że można było świat zejść, a drugich takich nie spotkać.

Janielcia wyniosła z chaty chleb i mleko i swojemu umrzykowi podetknęła pod nos.

— Pijcież.

Jan Sulimirski przywarł do garnka, jak dziecko do piersi matczynej i pił, pił... zdawało mu się, że życie pije.

Maciek Wielgus przyglądał mu się z coraz większem zaciekawieniem, ręka z dłótęm opadła.

— Tyż, żeby tak mliko chlapać.

Janielci oczy zwilgotniały:

— Jaki to głodny...

Odwróciła się i poszła do krów, aby ukryć łzy, co się jej ciurkiem z oczu puściły.

— O świecie, świecie! Tylochna niedoli na tej ziemi świętej, a człek nie poradzi, nie poradzi...

Wielgus kuł, w zapadającym mroku wyglądał, jak olbrzymi pajak przykucnięty na białym kamieniu, nagle lypnął oczyma w kierunku milczą-

cego gościa, co zdawał się już myślą wybiegać w świat inny.

— Przenocuje was, matka w izbie wam pościele; bez lato to letnicy mieszkają, ale tera już pojechały. Izba czysta, widna, spać se bedziecie, jak król. Zdaleka Pan Bóg prowadzi?

— Ze Sycylii...

— Italiański kraj... Ho! ho! Daleko...

— Daleko.

Echo zadzwoniło od przyzby.

— Gdzie to ta wojna ludzi nie zagnała. Mieście jaką siarżę?

— Byłem nadporucznikiem.

— E?!

Stary spojrzał niedowierzająco:

— Niby oberlajtnantem?

Przypomniała mu się kasarnia w dalekiej młodości i jak stał wyprostowany, jak drag, z rękoma przy szwach od spodni, przed takim nadporucznikiem właśnie. A teraz... pan nadporucznik u niego po żebrach... Splunął.

— Cie, jakie to życie marne, moiściowy, strasnie marne... Do swoich wracacie?

— Do swoich... Czy ja wiem, czy żyje jeszcze kto z moich...

— Młodziście jeszcze, może ta i żyje ojciec albo matka. Mieliście ojca? Dyc głupio pytam, kuźde dziecko na tym świecie ojca mieć musi, taki już porządek, jak kuźda figura swojego rzeźbiarza. Jenó czyście mieli ojca, co o was zadbać może?

— Jeżeli żyje, to zadba...

— A no juści, jeżeli żyje.

Jan Sulimirski głowę zpowrotem o ścianę wsparł, słaby się czuł, znużony nad miarę, w skołatanym mózgu zaczął się snuć projekt, rozwijać, przybierać kształty. Zostać tu w tej chacie wieśniaczej, do swoich stąd pisać, dowiadywać się, starać się o pensję przynależną, okryć się potem i dopiero do swoich wracać, tak niesposób przecież... Spojrzał na kamieniarza, czy mu uwierzą? Czy go przygarną? Czy nie powiedzą jutro: idź z Bogiem, takim oberwańcom, jak ty nie ma co wierzyć, zresztą co nam do ciebie i do twojej doli? Biedni jesteśmy sami i niema u nas nadmiaru chleba. Wszakże gdyby przyszedł do miasta, nikt, na pewno nikt, nie przyjąłby go do siebie, gdyby nie miał czem zapłacić. Legitymacje ma... cóż z tego, oprócz legitymacji nic więcej. Ach, co tam myśleć, może już śmierć idzie i wybawi od wszystkiego.

— Piśmienny jesteście gospodarzu?

— Tyż! — obraził się Wielgus. — A któż na świątkach napisy ryje, jako nie ja.

— Przeczytajcie.

Sulimirski podał mu swoją legitymację.

Wielgus przeczytał, głową kiwnął i oddał:

— A no, prawdeście mówili, nima co...

Do twarzy Jana Sulimirskiego uderzyła luna rumieńca, błękitne oczy rozgorzały.

— Pozwólcie mi tu u was zostać jakiś czas, wystarać się o pensję należną, do swoich napisać. Co na mnie wydacie, wróć, odwdziczę się wam. Ale popatrzcie gospodarzu, czy tak mogę do miasta iść, gdzie mnie niegdyś znano, do matki, do ludzi?

Stary ramiona stulił:

— Juści, że niebardzo, portki z was lecą przez obrazy, a buty trzymają się chyba cudem boskim... Ale widzicie, i my nie bogaci, a jedna więcej gęba do żywienia, to tyż nie byle co... Trza se wszystko piknie rozważyć, z babami się poradzić, widzicie, co nagle, to po diable. O! psia para, dłóto mi krzynkę na lewo poleciało i oko się skrzywiło, ciemno już... Siende se przy was i pogadamy, jeno fajkę przyniesie, bo tak po próżnicy siedzieć nie lubie... A wy palący?

— Oduczyłem się.

— A to można?

— Widzicie, że można...

— Hym...

Wielgus fajkę nałożył, palcem przygniótł i pykać zaczął, dym zagłuszył woń pól i lasów, chimurą snuł się i w oczy gryzł.

Sulimirskiego z nastaniem wieczoru zaczęła ogarniać coraz potężniej gorączka, mówił, opowiadał, gubił wątek, zaczynał na nowo. Wielgus słuchał, głową kiwał, ale nagle na swojego gościa z pod oka spojrzał, bo zauważył, że gada „przez sensu“ i że mu kanyś rozum światami chodzi.

— Ot bida...

Podniósł się wreszcie.

— Poczekajcie no krzynkę, jeno do chałupy, ku babom zajrze.

Ogarnął go jakiś niesamowity strach, bo „wendrowny“ gadał dalej z kimś niewidzialnym, przedkładał, prosił, płakał...

— O, bida...

Wielgus do izby wszedł, paliło się już bukowe drzewo na otwartym kominie i gotowała

w żelaznym garnku warza dla bydła. Anielcia z matką skrobały kartofle i gwarzyły sobie, jako co dnia o wszystkim i o niczem, ot byle cisze przerwać.

Jak Wielgus wszedł, prysnęła mu z pod nóg gromada królików białych, co sobie na obierzynach używały, a teraz do dziur umykały spłoszone, świecąc czerwonymi latarenkami oczów.

— Janielciu, cóż zrobimy z tym wędrownym? Pan to jest, jeno na dziady zeszedł; mówił, że co się na niego wykosztujemy, to i wróci, jak swoich najdzie... Ale czy ta najdzie? Niejeden już panem był, a jak dziadem ostał, to już i do dawnego państwa nie wrócił. Zawdy łatwiej człowiekowi grzysznemu z góry zlecieć, jak się na górę zwrotem wygramolić, i w tem moiściewy sęk. Pokazował mi legitymacyje, prawda jest, że przy ułanach oberlajtnantem był, ale cóż, kiedy na psy zeszedł, bez te wojnę. No więc co?

Anielka głowę podniosła i spojrzała mu w oczy uważnie:

— A ojciec co myśli?

Stary się po głowie poskrobał:

— Abo go na drogę wyprowadzić i niech se idzie kedy go oczy poniosą.

— Jezusie! I ty człowiecze krześcijanin jesteś!

— oburzyła się Marcjanna Wielgusowa.

— O, jakaś ty, czekajże aż skończy, nie pomstuj naprzód, albo go do łóżka położyć i opatrować w chorobie, bo gorąc od niego bucha, jak z pieca. Gadajcie wy teraz co robić, bo ja ta na pieniądzech nie siedzę, o zarobek trudno, coraz to mni ludzi znających się na porządnej robocie.

— A co masz, to ci na wódkę potrzebne.

— Nie dogaduj Marcyś, na wódkę nie na wódkę, ale zima za pasem, a komora tak jakby pusta.

— To ta już nasza rzecz. Ostanie i już, wróci, to wróci, a krześcijańską duszę wyganiać precz, to grzych...

— A no juści grzych... ale jedna gęba więcej...

— Dopust Boży i już.

— Ano pewnie. Nie mogło go to chocia o dwie chałupy dalej zanieść do Marchwiaków abo do Gibałów, bogace, to zawdy szczęście mają.

— Cie! Myślisz, żeby go Marchwiaczka przezimowała, albo Gibałka? Bogacz to zawdy łakomy, wszelaką biedę wyżenie, byle mu z komory nie ubyło.

— A biedak przygarnie, bo sam wie, co to bieda. Oj wie, całe życie jeno tyle, co z łyżki do gęby.

— Idźże, Janielciu, a łóżko mu nagotuj jako się patrzy, a ty, stary, ogarnij się i do księdza proboszcza przejdź, albo do jegomości do zarządu, możeby doktora przysłali...

Wielgus po kapelusz sięgnął i rękę wytarł w spodnie:

— Jeno Janielci pomogę, do izby tego wędrownego zatarabanić, bo se sama może rady nie da.

— Tyż! Janielcia ze dwa centnary dźwignie a takiego chudziakaby do łóżka nie zanieśla...

Zafrasowała się jednak na moment Marcjanna Wielgusowa, gdy w izbie sama została, przyszła jej na myśl zima, co już się tam gdzieś czała

u szczytów i że w izbie palić będzie trzeba, przyszło jej na myśl, że krowina jedna w oborze, a wieprzaczek też jeden...

— Ano, będzie co będzie. Kogo Pan Bóg stworzy, tego nie umorzy. Dopust Boży i już, a jak ona z Janielcią kapkę mniej zjedzą, to się i ten nieboraczek pożywi.

Przeżegnała się, westchnęła i garnuszek z mlekiem do ognia przystawiła, dla „wendrownego“.

ROZDZIAŁ II.

Anielcia klęczała na podłodze i paliła w piecu, mokre drzewo zajać się nie chciało ani rusz... Za oknem wicher dał, rozbijał się z jękiem o bierwiona chaty, jakgdyby ją chciał zmieść z pagórka w dolinę, z sąsiedniej izby dochodziło postukiwanie Wielgusowego młotka.

Jan Sulimirski na łokciu się wsparł i patrzył na daremne wysiłki dziewczyny, na jej policzki wydęte, i oczy nabiegające łzami od dymu, który wślaczał zpowrotem w głąb izby, szalejący na dworze wiatr.

— Drzewo wilgotne, nie ma Anielcia suchszego? Spojrzała ku niemu:

— Oj nimam, śniga nawaliło i wszystko zamokło do cna.

A jego pierwszy raz zastanowiło pytanie, skąd bierze się to drzewo, w którego radosny, drgający płomień patrzył, od czasu gdy go gorączka opuściła, z taką przyjemnością.

— A skąd macie drzewo?

— A skądby? Robię na dworskiem, to mi pozwolili nasmykać chróstu, lichej to opał, bo lichej, aleć zawsze lepszy, jak żaden.

— I dlatego takie mokre.

— A no.

— I sama to smykasz?

— A któżby?

— Nie ciężko ci?

Wzruszyła ramionami:

— Od młodości nawykłam dzwigać.

Rozmowa się urwała, dziewczyna znowu w płuca oddechu zaczerpnęła, wydeła policzki i dmuchała zawzięcie, krztusząc się swędem, drzewo syczało gniewnie, jakgdyby je bolał płomień.

Jan Sulimirski z trudem zbierał myśli, tyle tygodni śmierć czaiła się w kątach tej izby, że i teraz jeszcze osłabiony umysł z trudem zbierał i porządkował przebyte wrażenia.

— Długo ja tu u was leżę, Anielciu?

— A no, to i nie wiecie, po godnich świętach już, po nowym roku, a jak przyszlście do nas, to był październik.

— I cały czas żywiliście mnie, pielęgnowali?

— Pielęgnacji to ta dużo nie było, ja do roboty ide, co dnia, najpierw z ziemniakami była robota, teraz się fasole łuska, pierze drze, jest co robić, chwalić Pana Boga. Matusia tu do was zaglądała i ojciec, jak ta czas dorwał. Doktór był dwa razy, powiedział, że może tyfus macie, może co inszego.

— Nie baliście się?

— Tyż, przez woli boskiej nic się nikomu nie stanie.

— Pewno tyfus miałem, bo i w niewoli, przed ucieczką też na tyfus chorowałem. A kto doktora płacił?

— Ksiądz proboszcz przysłał doktora i wino, nasz pan zarządca jedzenie wam przysyłał, jak tak z wami źle było i koszule przysłał i stare ubranie, będziecie mieli co włożyć, jak wstaniecie.

Siadł na łóżku:

— Tyś wyprosiła!...

W głosie dźwięczał gniew, ból, drżały usta.

Zarumieniła się.

— Co ta takiemu panu koszula albo stary surdut, a wam się przyda, ja wam to stare połałam, ale...

A jego nagle ogarnęła fala wstydu nad wszystko silniejsza, twarz w dłoniach ukrył i rozpłakał się, jak dziecko. Żebrak, żebrak...

Anielka patrzyła chwilę zdziwiona, nie rozumiała go, nie pojmowała, co się z nim dzieje. Innyby się ucieszył, że bez pieniędzy wszystko ma, jako się patrzy, a ten?...

Czemu to tak?

Posmutniała i ona, tak się cieszyła, że mu przyjemność sprawi, tyle się napracowała wieczorami, by to wszystko oporządzić, a on...

Wstyd mu pewno, że takie wyżebrane.

A ona przecież tylko dobrze chciała, tylko dobrze, nie myślała, że mu ból sprawi, tylko radość. A możeby mu powiedzieć, że jedzenie, to gospodyni ukradkiem dawała, możeby mu zelżyło? Powiedzieć, nie powiedzieć...

Kto ta z takim wie.

Ale że strasznie jej było markotno, gdy zobaczyła, jak się do ściany odwrócił, a suche ramiona, pod tą darowaną koszulą trzęsły się od łkań, więc podeszła i usta przycisnęła do jego ręki...

— Już się na mnie nie żlijcie...

— Ja? Na ciebie? Skądże? Wdzięczny ci jestem. Tylko... Tylko pomyśl, taka nędza, wszystko od obcych ludzi, jak żebrak ostatni, ja co niegdyś... Rozumiesz, Anielciu... O Boże!

Zrozumiała.

— Widzicie, nie trza o tem myśleć co było, to tak bywa, raz człowiek na górze, raz na dole, taki dopust Boży. Ozdrowiejecie, swoich najdziecie i zapomnicie złego.

Mówiła łagodnie.

— Tyle wam dłużny jestem. Anielciu, i czem się wam odwdzięczę? Czem?

— O już ta nie macie się czem frasować. Zdziebko się mniej zjadło, to się i was pożywiło, jecie, jak ten ptak. Zratowali my was w biedzie, to jak do swoich wróćcie, zratujecie znowu wy kogo i będzie, na większą chwałę Pana Jezusowa.

Drzewo się zajęło, buchnęło płomieniem, zadowolona uśmiechnęła się:

— Nie trza wam ta czego?

— A książki skąd?

— Ze szkoły. Przeczytaliście już może, to załecę i nowe przyniesę:

— Nie, dziękuję ci. A kto kupił mydło i ręcznik?

— I co się ta tak rozpytujecie, jak nieprzymierzając ksiądz na spowiedzi! Jest to jest. Nie ukradzione.

Zaśmiała się swobodnie, patrząc w jego oczy wigotne jeszcze i smutne.

— A wyście myśleli, że po chałupach nie wiedzą co mydło i co książka?

Bezwiednie odpowiedział uśmiechem.

— A nie wiedziałem.

— Ano toście się dowiedzieli i już.

— Anielciu...

Zawróciła niechętnie od progu, bo chciała uciec, by uniknąć dalszych wypytywań, ale błękitne oczy chorego patrzyły tak błagalnie.

— A cóż wam to znowu?

— Chciałbym wiedzieć, powiedz mi prawdę, często miałem tę moją chorobę... wiesz...

— Padaczkę...

Spochmurniała, przypomniawszy sobie, jak go kilka razy z łóżka wyrzuciło, przypomniawszy sobie tę jego twarz zawsze taką bladą i piękną, a wtedy sino-czerwoną obrzękłą, straszną i każdy członek drgający, jakgdyby odrębnym życiem, w gardle ją schwycił żal i zdławił głos do szeptu.

— Ano mieliście i to kilka razy. Zawszeście to mieli?

— Nie, od wojny... Spadłem z konia i od tego czasu...

— Biedniście wy! — szepnęła miękko.

Wtulił głowę w pierzynę:

— I dlaczego się Bóg nie zmiłował! Nie zabrał.

Zakłopotana miała koniec fartucha, taką miała ochotę przesunąć ręką po tych krótko ostrzyżonych włosach i nie śmiała.

Wreszcie znowu spojrzał ku niej:

— Nie dziw się, Anielciu, taki jeszcze jestem słaby i zapanować nad sobą nie mogę, tak mnie wszystko wzrusza. Wstanę może trochę, trzeba znowu próbować żyć. Miałbym do ciebie pro-

śbę, chciałbym napisać listy do wojska, do rodziców, potrzeba mi papieru, atramentu, kopert, trzeba, żeby to ktoś zaniósł na pocztę i...

— Przyniesie.

W myśli obliczała, wiele jej się dniówek we dworze należy za pranie, za darcie pierza; miało być na omastę, na ziemniaki, bo swoje się już kończą, a no, musi starczyć i na to, coś zrobić.

— Tylko nie proś po ludziach...

— Na tyle mnie ta stać. Wicie, jak wstaniecie, to ta zarobicie i oddacie.

— Zarobię?

— No, baby ta nieraz coś mają do pisania do sądu, do wojska, wy ta wiecie gdzie, to napiszecie, a ludzie zapłacą...

Oczy mu rozbłysły radością, dawno nieodczuwana.

— No widzicie, skrzepcie się jeno, to ta robota i dla was się znajdzie, wójt tyż czasem ma jakie pisaniny, powiem mu o was, może was nawet do kancelarii weźmie, bo pisarz ma iść z wiosną do wojska.

Wyszła, a on na łóżku opadł wyczerpany.

O tak, wstanie, wstanie niedługo, zapracuje, odda. Niegdyś jako oficer miał tyle długów i nie myślał nawet, że je spłacić należy, odsuwał myśl o nich jak mógł najdalej, ale teraz tyle mu się zmieniło w życiu i w duszy.

Po izbie snuły się mroki wieczoru, ginęły już w liljowym cieniu obrazy rozwieszane nad łóżkiem, jaskrawe, tanie, jarmarczne obrazy, przedstawiające Matkę Boską, Pana Jezusa, naiwne wyobrażenie piekła i raju, w piecu strzelało drze-

wo radośnie, od bielonego sufitu zwieszał się świat barwnych opłatków zlepiony i kołysał w podmuchach wichury, co się przez szczeliny okien wdzierała.

Słaby był jeszcze, bardzo słaby...

Myśl leniwie snuła się wokół ostatnich wrażeń. Gdy odzyskał przytomność po długim czasie, w którym widział gorączkowe zlewały się tak szczerze z światem rzeczywistym, że rozróżnić nie mógł jednych od drugich, Anielcia zaczęła przynosić książki, czytał, czas mu się tak strasznie dłużył, dzień mknął jakąś nieskończoną ilością godzin, przelewających się z próżni w próżnię. Wieczorami przy słabym świetle lampki naftowej schodzili się do niego wszyscy, Marcjanna obierała w kącie przy piecu ziemniaki, Wielgus fajkę pykał, Anielcia grubemi, niezręcznymi palcami łątała bieliznę, a on opowiadał treść książek przeczytanych barwnie i zajmująco. W miejscach bardzo wzruszających ręce Marjanny opadały z ziemniakiem na kolana, Wielgus spluwał:

— O psia para!

Anielka niżej głowę skłoniła nad robotą, a wszyscy troje gniewni byli, gdy im ktoś przerwał te wieczorne posiedzenia. Zdawało się Sulimirskiemu, że ich poucza i podnosi. Jednego dnia jednak odczuł, że i oni mają mu coś do dania: swoją głęboką, wielką, czystą wiarę.

Człowiek uczy się całe życie, a każdy biedny czy bogaty, potężny czy bezsilny, ma w swoim zrozumieniu życia i Boga coś nowego, coś godnego posłuchania.

Więc stało się, że z kolei Jan Sulimirski siuchał, a Marcjanna i Bożyczek opowiadali stare

gadki góralskie, naiwne swoją prostotą, głębokie swoją wiarą bez zastrzeżeń, zgorzkniała duszę Jana przeciekał pogłos tej wiary, łagodził ból, uczył cierpliwości, poddania.

Nędza rozkładała przed nim swoje skarby i zdumiewała go olbrzymią tych skarbów wartością. Ci ludzie biedni, ograniczeni, prości, stali na dziwnej wyżynie ducha, swoją pokorą i podporządkowaniem się we wszystkim woli Bożej.

Jan Sulimirski znał dotąd bunt, rozpacz, nie znał poddania się. O istnieniu Boga wątpił nieraz, a jeżeli przypuszczał, że, jednak jest, to złorzeczył mu za swoją nędzę.

A ci ludzie, którzy nigdy nie znali nawet cienia dobrobytu, jeno twardą, ciężką, znojną pracę, mieli w głębi prostych dusz wielką ufność w sprawiedliwość.

— Jakby mnie Pon Jezus chciał mieć bogaczem, toby mnie był bogaczem stworzył. Wicie, tak prawdę mówiący, to nędzarzowi zawdy na świecie lżej, bo do biedy nawykł, a bida do niego, idą se ta razem przez życie, Pana Boga chwalecy a jak na tamten świat przydą a pytają ich: jakoś majątkami, twojemi rządził? to rzekną — dyć nic nie miałem, Panie Jezu miłosierny, jeno te dziecięć palców i ona biedę uczciwą, co ze mną chadzała od maleńkości. Toć i sąd widzi mi się, musi być krótki, nic nie zmarnował, bo nic do zmarnowania ni miał. No, powiedzcie sami, czy nie tak? Łatwiej człowiekowi w biedzie żywota uczciwie dokonać, jako w bogactwie, więc i za biedę trza Panu Jezusowi dziękować, bo i ona wartość ma, o ma, niebyle jaką.

I wtedy słuchając słów starego górala, Jan Sulimirski odczuł, że i tu można się czegoś nauczyć.

— Bo wicie — mówił Wielgus, — jak se tak człowiek myśli, a na ten świat patrzy, to widzi co wszystko pomyka, pomyka i nic się nie ostaje z nami ani bogactwo, ani uroda, ani rozmaite ludzkie honory, jeno ta dobroć, co w człowieku mieszka i ta wiara w Pana Jezusa i Jego nieskończone miłosierdzie. To jeno zawdy jednakie, zawdy niezmiennie.

I Jan Sulimirski w głębi duszy zaczął odnajdywać ślady tej wiary. Przypomniął mu się pacierz za matką powtarzany w dzieciennych latach, przypomniał uroczysty dzień pierwszej Komunii, a potem życie przyszło i wszystko zatarło, wszystko przywaliło potęgą nowych wrażeń, wypaczyło, zniszczyło, zdawało się, że i ślad nie pozostał...

A jednak...

Jak to było?...

Ojciec nasz...

Przymknął oczy, zdawało mu się, że po bielej ścianie tańczą znowu holenderskie dziewczuszki a jasna twarz matki chyli się nad nim poddając, jak niegdyś:

Który jesteś w niebie.

Drzwi skrzypnęły, Wielgus do izby wszedł, koło pieca usadowił i fajkę pykał.

ROZDZIAŁ III.

— Wicie, Janielcia od Wielgusów ma kawalira, nalazła go pod płotem i w chałupie chowa, kiej kura jajko.

— Ozdrowieje to i pójdzie, tyle go będzie widziała.

— Złakomi się na krowinę, na wieprzozka i ostanie.

Zaśmiał się ktoś złośliwie.

— Pan.

— Państwo mu bez dziury w podeszwach wyłazi.

— Zazdrość ci?

— Jezu! A czego? Umrzyka takiego.

Hanka od Marchwiaków wyprężyła swoją bujną urodę i lypnęła w stronę wiejskiej młodzieży zalotnem spojrzeniem.

— Ja ta nie potrzebuje kawalerów po drogach zbierać, każdego bym miała, gdybym jeno wole miała.

— Ale nie pana, — zaśmiała się złośliwie Zośka od Gibalów, chuchając w ręce zmarznęte.

— Janielcia na państwo zachorowała, obstarnia dziwka a głupia.

— Cichożę, bo usłyszysz.

Umilkły na chwilę, bo obok przeszła Anielcia, zatulona w chustkę po sam nos od mrozu czerwony. Widziała zdaleka kupiące się głowy dziewcząt, złośliwe uśmieszki i spojrzenia drwjące.

A niech sobie...

Nic im do niej, robią plotki, to niech robią, jak tylko człek w sumieniu czysty, to mu obojętnie, co ludzie mówią. Zima długa, roboty mało, to i plotkują, żeby jakoś czas zabić.

A niech ta...

Zaniosła wczoraj listy na pocztę i gdy niosła za pazuchą schowane, by śnieg nie zamoczył, gdy szła przez las cichy, srebrny od mrozu i śniegu,

gwarzący chrzęstem opadających z gałęzi igiełek mrozu, pomyślała sobie, że na listy przyjdzie odpowiedź, może pieniądze i Jan Sulimirski zapłaci, podziękuję, odjedzie do swoich.

Tam, gdzieś daleko w równiny, w których ona nigdy nie była i nie będzie.

I nikt jej już rano nie powie: „dzień dobry Anielciu“, nikt się nie ucieszy, że przyszła w wieczór, nikt nie otworzy wrót na świat i nie będzie opowiadał... O Boże...

I smutek nieznany przejął duszę dziewczyny nawskroś. Ot, jak ojciec mówi, wszystko pomyka, pomyka...

I przyszła na nią na chwilę pokusa, żeby listów nie zanieść, rzucić je do śniegu.

A onby odpowiedzi czekał i ostał...

Przeżegnała się i tę myśl natrętą odgoniła siłą, przecieży to była krzywda. I zaniosła listy na pocztę, opłaciła własnym, ciężko zapracowanym groszem, ale żałośnie się jej stało na duszy i oto poniosła swój smutek do Boga.

Ot przytulić się gdzieś do zimnej cegły, oczy w blask świec utkwic, w ową słodką twarz Chrystusową, wychylającą się z ram obrazu i zapłakać.

Całe życie gorzkie było i smutne, pracowite tylko, inne się śmiały, bawiły, ona „brzadzka Janielcia od Wielgusów“ była ze strony wiejskiej młodzieży celem żartów i drwinek jedynie, a wieś umie być złośliwa, umie dogryźć do żywego. Poszła raz Anielka do karczmy na tańce; młodzieźka była wtedy i radości spragniona, a tańczyła nawet z psem na podwórzu, namówiły ją inne i poszła. Oj biło jej serce, gdy patrzy, a tu sunie

do niej Wojtek od Marchwiaków, chłopak śmigły, urodziwy, przedmiot podziwu dziewcząt z całej wsi.

Oj szalało to głupie serce, szalało, gdy ją do tańca wiódł, kapelusz nabok zsunał, w pas się podparł i w oczy jej patrzył... Hej! Ha!

Obrócił nią, zakręcił, zaleciało od niego wódką i marnym tytoniem, gorąca spocona ręka ścisnęła jej dłoń.

Przed muzyką przystanął, w boki się wziął, na tancerkę swoją popatrzał i zaśpiewał:

„Nogi jak stępory, piersi kieby wory, ręce kieby grabie, twarz podobna żabie“.

Zasłoniła tedy twarz rękami i buchnęła w drzwi, a za nią leciał śmiech, pijany śmiech rozbawionych parobków.

Żart, niepoczciwy żart... A ona głupia...

Jak wtedy zaleciała do domu, nie pamięta, wie tylko, że gdzieś w wiklinach nad rzeką płakała, jak gdyby duszę wypłakać chciała. I była to jej jedyna, ostatnia zabawa. Na chłopców patrzeć przestała, robota jej się w rękach paliła i niejedną byłby się może i posunął do niej, dla tej robotliwości właśnie, ale jej zawsze w uszach dźwięczała Wojtkowa przyspiewka ostrzeżeniem.

Więc i ona wyśmiewała, nieprzystępna jak ten oset na łące. Robota była, uganiaczka z ojcem, małe ale ciężkie troski codziennego dnia, na nudy ni na swawolę czasu nie było.

Czasem ręce opadały na chwilę i gdzieś, z głębin jaźni wypływało pytanie: „I la kogo ja tak haruje!“ I pozostawało bez odpowiedzi. Czasem smutek duszą szarpnął, a zazdrość zasyzczała, że inne szczęśliwsze.

Teraz jednak dopiero Anielcia odczuła ból, gdy pomyślała, że Jan Sulimirski odejdzie.

Usiłowała się modlić i myśli zebrać nie mogła, pod półprzymkniętymi powiekami snuł się obraz człowieka wspomnieniem. Słyszała jego łagodny, niski głos, widziała smutne oczy błękitne, o gdyby tak został, gdyby mu służyć mogła jak dotąd.

Nagle drgnęła, obok niej z szelestem nakrochmalonych spódnic, ukłękła młoda, rosła, urodziwa dziewczyna Kasia Podgórna, rzuciła wyzywającym spojrzeniem wkrag, po babach szturchających się łokciami, po dziewczętach spuszczałających oczy, i otworzyła „Książkę modlącą“, chyląc się nad nią zgrabną, czarnymi warkoczami oplecioną głowę.

Wróciła?

Wróciła!

Anielka zapomniała o swoich utrapieniach i zatoneła w oględzinach sąsiadki, że też wróciła! Że też odwagę miała do kościoła przyjść i pomiędzy nimi ukłęknać...

Taka!

Jesienią jeszcze znalazł pastuch od bydła, głupi Józuś Serwetka, w wiklach niemowlę piachem przysypane. Kasine było, cała wieś przecież wiedziała i dziwiła się, że się kanyś zapodziała. Józik znalazł, przyniósł do wsi małego trupka o wyżartych przez robaki oczach. Były komisje, dochodzenia, żandarmi zabrali Kasię do miasta. Cała wieś trzęsła się z oburzenia. Potem mówili, że ją sędziowie przysięgli uwolnili, wszyscy myśleli, że się już we wsi nie pokaże, a ona... wróciła.

I klęczała, jak nigdy nic, urodna i bezczelna.

Baby odsuwały się pomału coraz dalej, nieznacznie ale wciąż i nagle w stłoczonej nawie utworzyło się puste koło, a w nim klęczała Kasia Podgórna, jak pod pręgierzem. A właśnie ksiądz Andrzej wikary, na kazalnicę wszedł i zaczął odczytywać Ewangelię św., skończył, i jego spojrzenie ogarniające stłoczoną grupę parafian, napotkało owo puste koło i klęczącą w niem większą grzesznicę.

I zmienił temat kazania, miał mówić o pijaństwie przybierającym po wojnie tak zastraszające rozmiary, a zaczął mówić o owcy zbłąkanej, co na bezdroża zesła, a Dobry Pasterz szukał jej i znalazłszy przyniósł do stada. I była owca poranioną i biedną, a inne bały się jej i stroniły od niej. Czasem tak człowiek popełniwszy ciężką winę, wraca jednak do swojego Boga. Co go przywiodło, może chęć pokazania się, może skrucha, nie wiemy. Wrócił, człowiek nie wie, co się dzieje w duszy drugiego człowieka, więc nie przystoi mu prawo sądu nad bliźnim, natomiast przysługuje mu zawsze żywe, zawsze piękne prawo miłowania i dobroci.

Sądy zostawmy Bogu. On stworzył, On karze, On przebacza, gdy w sercu grzesznika skrucha zamieszka i żal, a dusza zbłąkana wraca na drogę pokuty i cnoty. Więc jej tej drogi powrotnej utrudniać nie trzeba w niczem, przeciwnie, pomóc mu trzeba. Jak? Modlitwą, „i dlatego wzywam was, kochani, byście wraz ze mną odmówili litanję do Serca Pana naszego Jezusa Chrystusa i polecieli Jego łasce i miłosierdziu ową ludzką duszę zbłąkaną, by drogę powrotną, drogę cnoty odnalazła“.

Ksiądz Andrzej ukląkł, wszyscy gruchnęli na kolana i zaczęła się snuć litanja. Młody, silny błagalny głos księdza przodował, odpowiadał mu chór, z początku niepewny i wahający, później pelen siły i wiary.

I nagle do słów litanji przyłączył się nagły, głęboki, bolesny płacz, to Kasia Podgórna runęła twarzą na taflę posadzki.

A ponad nią płynęły słowa litanji, dźwięczały echem w nawie kościoła i w sercach ludzkich.

Łkaniu Kasi zawtórował płacz, to baby się roztkliwiły i gruchnęły łzami.

Kasia Podgórna przyszła nie ze skruchą i nie ze żalem, przyszła, by się pokazać, że sobie z niczego nic nie robi, że skoro ją sędziowie uwolnili, to taka dobra jest, jako i inne. Ale gdy uklękła i zaczęto się od niej odsuwać, zbudził się w niej upór, wyżej podniosła głowę, w oczach błysnął gniew, rozżarzone a suche, wyzywająco patrzyły wkrąg.

Zabiłam, moje było i już...

A potem zaczął mówić ksiądz Andrzej, a ją nagle gorąc oblał, wstrząsnął nią lęk... Co powie? co?

Kurczowo zacisnęły się ręce, a oczy zawisły na ustach księdza niespokojne, oczekujące pełne gniewu i buntu. Odejść... Rzuciła wzrokiem za siebie, dojrzała ponure oczy chłopów, nie przepuszcza, zmuszą do słuchania.

Zostać... Ale nagle wrogi błysk zgasł w jej oczach, ogarnęło ją wzruszenie. Słowa, które padały z ambony tchnęły dobrocią, szły ku niej łagodne, ciche a silne, jak dłoń pomocna wyciągająca się od ołtarza. Dziewczynę nagle za gardło

schwycił żal, nie czuła go, gdy maleństwo swoje grzebała w wiklinie, ni gdy w sędzie rozpaczliwie walczyła o życie, aż teraz... Ten dobry, łagodny głos i ta modlitwa błagalna za jej duszę grzeszną.

O Chryste! I nie myślała już, że wszyscy na nią patrzą, myślała jeno, że może w tej chwili Bóg spojrzy i wglądnie w jej duszę opływającą żalem pokuty, bolem kajania, w jej duszę grzeszną.

Jezu! Jezu... Jak ona cierpieć musi, tylochna wstydu, tak płacze, jakby jej serce pęknąć miało z boleści. I Anielka Wielgusowa przysunęła się nieznacznie bliżej i znowu bliżej, tak, jak się przedtem odsuwała, uczyniły to i inne, koło się zwarło, zamknęło i gdy ksiądz Andrzej wstał, to znowu zobaczył głowę przy głowie.

Fala ludzka, która odtrąciła grzeszną, zwarła się nad pokutującą. Po nabożeństwie kościół zwolna pustoszał, została wreszcie wciąż jeszcze krzyżem na kamiennej posadzce Kasia Podgórna.

Anielka dotknęła jej ramienia.

— Pójdź, wyjdziemy razem... Ludzie się już z przed kościoła rozeszli, pójdź.

Spojrzały na nią oczy wpół przytomne, smutne bezmiernie:

— Dziękuję ci, Anielciu, zostanę jeszcze, wyspowiadać się chcę, duszy ulżyć... O Jezu! Jezu!

Płacz ją na nowo schwycił, dogłębny, rozpaczliwy:

— Mojaś ty, do zakrystji idź i poproś księdza Andrzeja, wyspowiadaćbym się chciała, sama iść nie śmiem...

— Pójdę.

— Jak myślisz, przyjdzie? Nie odmówi?

— Gdzieby zaś, przyjdzie.

Wielgusówna wsunęła się do zakrystji i czekała, aż ksiądz Andrzej modlitwy skończy, a potem pocałowała go w rękę:

— Kasiaby się wyspowiadać chciała, proszę jegomości.

— Dobrze.

I w chwilę potem w pustym kościele w przedpiekle ludzkiej winy spojrział młody ksiądz, słuchając łkaniem przerywanych słów dziewczyny. W mroku konfesjonału odżywała na nowo straszna scena mordu najwstrętniejszego, najbardziej przeciwnego ludzkiej naturze, dzieciobójstwo. Wódka, szal, rozpacz, wstyd, piekło.

A teraz żal, straszny swoją beznadziejskością, żal, który życia przywrócić nie zdoła.

ROZDZIAŁ IV.

Bożyczek z karczmy wyszedł, szedł śpiewając na cały głos, aż gdzieś echo leciało od strumienia, płątało się wśród gór, a psy wiejskie ujadły w odpowiedzi. Wokół noc była cicha, gwiazdzista, skrzypiał śnieg pod podkutymi butami Wielgusa.

Oj wesoly był świat, wesoly!

Drzewa kręciły się, jak pijane, idzie człek, a tu mu się jałowiec zaplata pod nogi, że ani go wyminąć, a góry się chwieją tam i sam, gwiazdy na niebie coraz ku ziemi leca, zda się buchną na chwilę, urwawszy się aniołowi ze sznurka, ale znowu uciekają na swoje miejsce, gdy Wielgus rękę po nie wyciągnie.

A Wielgus był rozbawiony jako i ten świat; przytupywał, tańczył po śniegu, jak za młodych lat objął ramionami świerczka i zdawało mu się, że to Marcjanna, jak była młoda. Kanyś się jej zmarszczki podziały, a buzia wyglądała.

— Marcyś, dajże gębusi... daj, nie bądź taka sporna. Marcyś, dziewucho miła...

Przygarnął, pocałował, splunął, ostre igielki świerka, w którego gałęzie wpakował całą gębę, pokłuły mu usta boleśnie, obejrzał się, przeżegnał.

— Czary, czy co? Uciekła a świercka ostawiła, całą gębę mi pokłuło, czekaj ty. Spiere ja cie, jak do chałupy zajde, obacys.

Oprzytomniał na chwilę, otarł twarz rękawem, i szedł znowu wybałuszając oczy, ale go nagle smutek przejął.

— Wodzi mnie, czy co? Ide i ide, tylochna czasu, a tu chałupy ani widno, kanyż znowu ta psia para uciekła? A nogi, jak nie moje, kiwają się w kolanach... Pfu! Dziwna noc, dziwna. Pannie Jezu miłosierny, znikąd spomożenia, chałupy łoża, jakby nogi miały, babe ułapiesz, a w świercka ci się zmieni, gwiazdy latają, furkają, jako ptaszki wiesną. Dziwny świat, dziwny... jakby nie ten.

Zatrzymał się, kiwnął wprzód i wtył, z rozkudłaczanej głowy czapka spadła, rozwiął wiatr siwe włosy, schylił się, by ją podnieść, gdzie zaś on tu ręką, to ona umyka wbok, on za nią, ona znowu ucieka... żywa, czy co?

Zafrasował się.

— Anim tak dużo nie wypił, ze trzy półkwatki, a może cztery, ktoby ta zrachował, weso-

łym ci był i krzepki, jakbym połowę roków zbył, a teraz ci mi jakoś markotno... Marne życie człowiekowe... Pójdźże tu, czapko zatracona, tyleś mi roków uczciwie sługowała, a teraz kanyś gonisz, jakby cię bies opętał... Ciebie... czy mnie?

Strach nagle zjeżył włosy Wielgusa, bo zdało mu się, że wiatr się rozchichotał złym, złośliwym śmiechem, że coś koło niego idzie.

A może to już śmierć kanyś z boku lizie i dlatego świat taki dziwny...

A to znowu co?

Ułapiło go coś za kożuch i trzyma.

O rety!

Szarpie się Wielgus wprzód, a to chytło i trzyma.

Wierzba nie wierzba, człek nie człek...

Jezusie!...

Nikiej ręka sucha za kożuch trzyma.

Wyraźnie Wielgus czuł tej ręki krzywe, suche, wstrętne oślizgłe palce, i strach, szaleńczy strach za pierś go chwycił.

Rzucił się naprzód, szarpnął z całej mocy, sucha gałąź wierzby, co nad brzegiem strumienia rosła i pod kożuch mu się wsunęła, pękła z trzaskiem. Puściło, ale nogi oślizgły się po śniegu i Wielgus runął wdół, po szkarpach śniegiem przysutych, aż do strumienia, wyrznął głową w łód.

Straszny, rozpaczliwy krzyk zatrzęsł się nad polami, poleciał ku chacie.

Cisza...

Nad śnieżną powierzchnią sterczą dwie nogi, drżą chwilę, szamocą się, sucha, ciemna ręka po lodzie bije i martwieje w bezruchu, rozczapierzonymi palcami zwrócona ku niebu.

* * *

W izbie Marcjanna z Anielcią siedzieli obok pieca i jako zwykle czekały powrotu starego z karczmy. Słabe światło lampki naftowej ledwie rozświecało kąty. Niemowne były obie. O Kasi Podgórną gadały cały wieczór. Marcjanna odmawiała różaniec, a głowa się jej kiwała, powieki zapadały na oczy, zwalczał ją sen.

Anielka siedziała skulona, myślała o tem, że jak ojciec przyjdzie, zaczną się awantury, jako zawsze, on, taki dobry, cichy, rozumny, gdy był trzeźwy, po pijanemu dom chciał rozwalić, a ją ogarniał wstyd i żal, że echo tych gadanin do sąsiedniej izby doleci. Jego rozbudzi...

Spi sobie może, albo czyta — myślała z jakąś macierzyńską niemal czułością — czyta pewno, bo się jej zdaje, że szpary w drzwiach przeświecają światłem.

Nagle drgnęła. Pies, leżący w progu, zaskowyczał jakoś niesamowicie i ze zjeżonym grzbiem zaczął się cofać, warcząc głucho... Chciała na niego zawołać, ale przejął ją taki dziwny lęk, zdało się jej, że coś izbą przeszło, przesunęło się od wejścia ku piecowi.

Człowiek? Cień?

Dreszcz lęku przesunął się wzdłuż kręgosłupa ku biodrom, zwilżył skronie potem...

Otworzyła usta, żeby krzyknąć i głosu wydobyć nie zdołała, jej oczy rozszerzone trwogą, spotkały oczy Marcjanny równie błędne, równie nieprzytomne...

I ona widziała.

Przytuliły się do siebie odruchowo, czarne od pracy ręce zacisnęły się kurczowym chwytem, a serca biły, gdzieś w gardle.

Sekundy tak przeszły, czy wieki?

Czas w takich chwilach traci swoje wymiary.

— Widziałas? — szepnęła wreszcie zbieletemi wargami i wstrząsnęła się pod wrażeniem własnego głosu.

— Così przeszło...

— Co?

— A bo ja wiem...

— Jezusie, bądź miłościw, dusza jaka pomocy potrzebująca, czy co?

— A wyście co widzieli?

— Przeszło od sieni do pieca i gdzieś znikło. Zdało mi się, że ojciec... A pies...

Nie dokończyła, zerwała się nagle w rozpaczliwym przytuleniu, bo drzwi od izby otworzyły się, a one w grozie niedawno przeżytej znowu myślały, że „coś” idzie.

W drzwiach zarysowała się smukła postać Sulimirskiego:

— Nie śpicie jeszcze?

— Nie...

— Ojciec w domu?

— W karczmie...

— Weźno latarkę, Anielko, i chodźmy naprzeciw, coś mi się zdało przed chwilą, że krzyk o ra-

tunek słyhać od strumienia. Może mu się co przytrafiło. Leciało, jakby od starej wierzby, po tamtej stronie, wiesz.

Marcjanna szukała zapalek, i wszystko jej z rąk leciało, tak się rozdygotała strachem. Anielka znalazła wreszcie zapalki, zapaliła latarkę i poszli.

Uderzył im w twarz zimny wiatr północny, niosący tumany śniegu.

Strumień był tu, na sąsiednim brzegu w blasku księżyca znaczyła się rosochata sosna pokraczną zjawą.

Szli, nawoływali, a wicher im słowa wtłaczał z powrotem do rozwartych ust.

Nagle bystre oczy Sulimirskiego dojrzały coś czarnego na białem tle śniegu, pokrywającego strumień, wyglądało to dziwnie, sterczało nad strumieniem, jak martwy pień wtłoczony w lodową powierzchnię.

Sulimirski ześlizgnął się po stromym brzegu w dół, teraz widział już dokładnie parę butów nad taflą lodową i ową rękę ku niebu sterczącą, jak-gdyby w błaganiu.

Tyle razy śmierć widział, tak się z nią zżył, a jednak coś wzruszeniem zdławiło mu gardło na widok tej ręki nieszczęsnej.

— Anielko...

— A co?

— Chodź, pomóż mi... zdaje się wpadł do strumienia, pod lód się dostał, wyciągnąć go musimy...

Już była przy nim, ale teraz lód pod ciężarem ich dwojga jęknął głucho, jak jakaś istota żywa i prysnął, nogi im ogarnęła woda zimna i ziąbem przejęła nawskroś.

Strumień był płytki, z wiosną jedynie urastał do rozmiarów rzeki i szalał, teraz ledwo się snuł pod lodową powłoką. Zaczęli wspólnymi siłami ciągnąć owe buty, wystające nad łożysko rzeczki, oblamywać lód.

Milczeli oboje. Sulimirski słyszał tylko, jak zęby Anielci uderzały o siebie, jak w febrze. Straszne, rozpaczliwe łkanie dusiło ją w gardle i wydobyć się nie mogło łzami. A myśli szalały.

Jezu! Jezu! Na co mu to przyszło? Na co... Żywego wyciągną, czy trupa...

Trupa pewno...

Może to jego dusza, co przez spowiedzi świętej odeszła, wróciła do chałupy, by dać znak...

Jezu! Jezu!

Pijany był, oślizgnął się i wpadł.

Wreszcie zdołali go wyciągnąć, ciężki, przemoknięty, niekształtny tobół, omarzający lodem.

I oni przemokli, brnąc w wodzie ciągnęli go ku brzegowi i złożyli na śniegu, by spocząć przez mgnienie.

— Do chałupy... do chałupy... — drżały szep-tem rozpaczliwym usta dziewczyny.

— Żyje może...

Sulimirski przykleknął, kożuch rozerwał, ucho do piersi przyłożył, słuchał.

Zdawało mu się, że słabo, słabo serce się tam kołata, jak ptaszę roztrzepotane.

Podniósł głowę, spotkał oczekujące, bolesne oczy dziewczyny; poco budzić nadzieje, które może za chwilę zawiodą...

— Weźmy go, Anielciu...

— Dacie rady?...

Wzięli go i nieśli, cały ciężar prawie dźwigała Anielka, a pomimo tego Sulimirski czuł się u kresu swoich sił, zaczynały mu przed oczyma krążyć koła, brakowało tchu...

Och! Nareszcie... Weszli do chaty.

Marcjanna krzyknęła, a potem rzuciła się, by łóżko rozebrać. Złożyli go na niem, włosy ociekały wodą, z kożucha płynęła woda i rosła na sosnowych dylach podłogi w kałużę ciemną, niesamowitą.

Sulimirski próbował stosować sztuczne oddychanie, zdawało mu się, że tam w tej chudej, żółtej skórze pokrytej piersi kołaczę się jeszcze życie. Zdawało mu się, że sine usta pod mokrym wąsem drgają oddechem.

— Janielciu, duchem po dobrodzieja leć, może się ocknie, może wypowiada, człek był całe życie pobożny, jeno...

I nagle Marcjanna buchnęła płaczem, zmógł ją żal, że oto tak po pijanemu z tego świata zeszedł, tak skończył, jak to bydlę.

Anielka chuścinę zarzuciła, wysunęła się z izby i leciała. Przemoknięte spódnice zamarzyły lodem, stygły nogi w mokrych butach, nie dbała, byle jeno ojcu księdza sprowadzić na czas, byle w grzechu ze świata nie zeszedł.

Kochała go przecież, przypominało się jej, jak ją małym dzieckiem pieścił, na rękach nosił, pod powałę chuśtał... Nie wiedziała kiedy przeleciała przez wieś. Słyszała jeno ujadanie psów, lecące za nią, urastające w chór zły, okrutny.

Probostwo... W jednym oknie światło.

O Boże, dzięki Ci... Światło. Nie śpią jeszcze. Zastukała.

Na jasnym płótnie zasłaniającej okno firanki dojrzała jak się cień ludzki dźwignął.

— A kto tam?

Poznała głos wikarego.

— Anielka od Wielgusa...

Rygiel odsunięto, ksiądz Andrzej stał w progu, poznał dziewczynę, wyrabiała nieraz na probostwie.

— A cóż tak po nocy...

Osunęła mu się do kolan.

— Ociec wleciał po pijanemu do strumienia i umiera...

Zduszone z wysiłkiem łkanie.

— No... no... Tylko Pana Jezusa zabiorę i zaraz pójde z toba...

Rzuciła mu się do ręki.

— Jeno rychło... rychło, bo on może...

— Już idę.

A jednak zdawało się jej, że to trwa wieki, nareszcie zadźwięczał dzwonek, na biele śniegu zarysowała się zgarbiona postać organisty i smukła księdza Andrzeja; zamigotało krwawe światło latarenek. Anielcia powlokła się za błyskiem tego światła, omarzniete spódnice ocierały łydki do krwi, nie czuła bólu, widziała jeno siną twarz ojca... straszną martwą, i modliła się bez słów, modliła całą duszą, by jeszcze żył, by jeszcze doczekał...

Z bezmiarem dziecięcego miłowania modliła się, by nie odchodził tak w grzechu, a jednak...

Wszystkie zabiegi Sulimirskiego okazały się daremne, zaprzestał ich wreszcie, znużony do upadłego, i gdy do chaty wszedł ksiądz Andrzej, u wezglowia starego Wielgusa paliły się już świece woskowe, rzucając żółty rozbłysk na twarz stężoną w męce, na czaszkę, do której lepiły się kosmyki mokrych siwych włosów. Marcjanna złożyła mu już ręce nakrzyż i wsunęła koronkę w zeszywniałe palce.

Ponuro jęczał dzwonek, jak skarga bolesna w powrotnej drodze, przez uśpioną wioskę.

Niema chyba boleśniejszego słowa w mowie ludzkiej niż: za późno!

ROZDZIAŁ V.

— List do was...

Ręka Anielci drżała, gdy doręczała dużą, błękitną kopertę, i drżała ręka Sulimirskiego, gdy ją otwierał.

Na podstawie przesłanych papierów, poświadczeń szpitalnych, przydzielano mu pensję inwalidzką tak śmiesznie, tak boleśnie małą. Za dużo by umrzeć, za mało by wyżyć. A jednak... był to nareszcie własny pieniądź.

Nie otwierał mu ten pieniądź drogi powrotnej do dawnych stosunków życiowych, nie dawał nadziei leczenia, ni wyzdrowienia, ale w każdym razie dawał możliwość wegetacji w jakim zakątku podhalańskiej wsi.

Poza nawiasem życia...

Tak młodo... na zawsze...

Bo i cóż tu może być za życie?

Ale przypomniawszy mu się tułaczka o żebranym chlebie, przypomniawszy noc bez dachu, szczególniej ta ostatnia w Peszcie, gdzie nocował w hali dla bezdomnych. W deszczową, smutną, mglistą noc, spał na kamiennej podłodze hali, obok jakiegoś pijanego żebraka i wstrętnej kobiety. Patrzył przerażonymi oczyma w bezdeń ludzkiej nędzy, w dno przepaści, ku której się staczał. Słów nie rozumiał i dziękował Bogu, że ich nie rozumiał, ale widział twarze, ludzkim twarzom niepodobne, twarze, na których wszystkie występki, wszystkie zbrodnie położyły swoje piętno i starły z nich owo podobieństwo Boże, które z człowieka, człowieka czyni... Bryzgały ku niemu spojrzenia jak plwocina jadowita, widział, jak co chwila kłębiły się ciała w bójce i kogoś brano do cyrkułu... Dno...

I przejął go dreszcz lęku, że to bagno i jemu mogłoby sięgnąć po szyję, że i z niego mógłby być wkońcu taki nędzarz oszałamiający się wódka, by nie czuć własnego upadku.

Och, tylko nie to...

Wrócić do miasta, przy jego stanie zdrowia, a z tą odrobiną grosza, to przecież otwarta droga do owego dna...

Gdyby jadał w najgorszych spelunkach, mieszkał kątem w suterynie, grosz rzucony mu przez kraj nie wystarczyłby mu nawet do połowy miesiąca, a druga połowa?

Spanie na ławkach w ogrodach, na nabożeństwach w kościele, w salach muzealnych, pod mostami, znał to wszystko, u nas hał dla bezdomnych niema, ale są bezdomni, co siedzą do nieskończoności w szynkowniach i błakają się w noc ciemną do białego rana.

A zimą? Kieliszek wódki mniej kosztuje, niżeli wiadro węgla, a za jednym kieliszkiem idzie drugi...

Patrzeć na przepychy szyb wystawowych i drzeć z zimna. Być obryzgiwanym błotem samochodów, w których niegdyś sam jeździł. Paść może kiedy w napadzie choroby na ulicy i być przedmiotem litości mas.

Czy to byłoby życie? Rzucił list na stół.

Co z sobą począć? Co?

Duszo mu się stało w izbie, zarzucił na ramiona kożuch starego Wielgusa i wypadł z domu, nie zauważył nawet, że Anielka przeprowadzała go niespokojnemi, wilgotnemi oczyma. Pytać nie śmiała.

Gdy wyszedł, kusiło ją, żeby do listu porzucenego zaglądnąć, ale i tego uczynić nie miała odwagi, przecież to był jego papier.

Zabrała się do sprzątania, jak zawsze wtedy, gdy wychodził, ułożyła starannie książki, zamietła izbę, przesłała łóżko, zmieniła wodę na miednicy, otworzyła okno.

Pójdzie pewno... Pójdzie w świat... Nic go nie zatrzyma, bo i cóżby?

Gdzież jej do niego, ani pomyślenia, jeno, że to głupie serce, to nic rozumu słuchać nie chce. Tłumaczy mu Anielka tak i tak, a ono zawdy swoje, zawdy: najmilejszy.

Ech, co ta człowiekowi z tego, lepiej kurom dać jeść, albo gnój z pod wieprzozka wyrzucić, a nie o głupstwach myśleć.

A jednak myślała i beczynn timer opadły jej ręce i oczy zaślnyły łzami.

— Janielciu!

Pobiegła do izby, bo ją wołała matka. Od śmierci Wielgusa Marcjanna snuła się po izbie jak cień. Siedziała teraz jako zwykle koło pieca, skrobiąc dla gadziny ziemniaki, ale jej coś dzisiaj roboty nie szła, trzęsła ją zima, to znowu nachodził gorąc nagły, aż się jej w oczach mieniło, a drżące palce nie mogły utrzymać noża.

— Co wam?

Przestraszyła się Anielcia, spojrzawszy w szarozieloną twarz matki.

— Słabi mnie czegoś, dziecko, słabi... Ani wydychnąć, tak coś pod żebrem żga, że niech ręka Boska broni. Zima trzęsie. Może się trza będzie za ojcem zabierać do gliniaka. Ano wola Boska.

— Co zaś gadacie!? — oburzyła się Anielka. — Połóżcie się, rumianek wam zaparzę, herbaty zrobię z arakiem, wypociecie się, to i przejdzie.

— Może i przejdzie...

Marcjanna westchnęła. Dźgało ją w boku od kilku dni, ale nic nie mówiła, bo co ta mówić! Wlazło, to i wylizie, zawdy tak było. Robiła se ta ziółka pokryjomu, piła Boże drzewko i smarowała bok sadłem. A to jak wlazło, tak siedzi, jeno zima coraz większa trzęsie i żar w oczach pali. A no przyjdzie śmierć, to ta tyż nic wielkiego, czyste człek ma sumienie, nikogo nie ukrzywdził, nikomu nie zazdrościł, pracował uczciwie, ból swój życiowy — bo któż go nie ma, jednako nosi go wiejska baba pod zgrzebną koszulą, jak pani pod jedwabną — znosiła cierpliwie i Bóg o nim jeno wiedział miłosierny. Przyjdzie umrzeć, a no to się i wybierać trzeba, taki już porządek, że się starzy młodym usuwają. Anielka robotna, poradzi sobie a do chałupy i do gruntu, przyżeni się ta

który parobek, już ta przez gospodarza nie będzie. A ona sobie pójdzie do starego.

A no tylochna lat się razem przeżyło, tylochna godzin, że człowiekowi markotno samemu. Brakuje w izbie postukiwania Wielgusowego młotka, brakuje i tej ręki, co młotek trzymała, co biła i pieściła, jak ta padło, ale zawdy była to gospodarska ręka, miłowana ręka.

Marcjanna patrzyła nie widząc, jak Anielka łóżko słała, rozstrzepywała poduszki i pierzyny.

— Legajcie, matusiu...

— A no, legnie człowiek i może ta już nie wstanie. Wola Boska.

Przeżegnała się.

— Kiej czas, to czas...

Rozbierała się, a Anielka paliła w piecu, by herbatę zaparzyć.

— Dobre dziecko, o, dobre! — myślała Wielguska — jak się to ta o mnie stara.

Nagle jednak rozmyśliła się i zaczęła rozwiązywać spódnice na nowo zawiązywać.

— Wisz, Janielciu, niewiada co ta człowiekowi wypadnie. Póki ta jeszcze człek siły ma, trza iść do kościoła wypowiadać się, nie jadłam dziś nic od rana, to póńde do kościoła Pana Jezusa przyjąć, a potem to se ta już legnę, i będzie, jak ta Pan Bóg da.

— A zajdziecie to?

— Już się ty ta nie staraj, zajde pomalušku, słonko świci, do kościoła nie tak ta daleko, zajde.

— Możeby księdza poprosić?

— Tyż, z rozumuś obrana, czy co? Jegomościa po próznicy może drugi raz fatygować, kiej

siły jeszcze mam. Żga bo żga i zima trzęsie, ale się ta jeszcze do kościoła dowloke.

— Pójde z wami.

— W chałupie ostań, gadzinie trza dać żarcie, panu ugotować. Kanyż ta poszedł?

— List dostał i poszedł gdzieś.

— Hale, list!? To może i pojedzie. Dobry człek, a niechby mu ta Pan Jezus miłosierny posęścił, żeby do swoich wrócił. Anielciu, daj mi ta te spódnice w paski i te chustke co do kościoła. Słonko świeci, zajde se ta pomalušku.

Szła Marcjanna drogą śnieżną, szła pomalušku, ale i tak co chwilę przystawać musiała, by wydychnąć. I przypomniło się jej, jak po tej samej drodze, młodą dziewczuchą za bydłem goniła, jak szła wtedy strojna i radosna w każdą niedzielę, a chłopcy oczami za nią wodzili, bo urodna była, tą drogą jechała do ślubu...

I zdawało się jej, że Bożyczek znowu jest przy niej i trzyma znowu jej rękę, jak wtedy w swojej silnej, spoconej dłoni.

Hej, co to czasu, co czasu... a zda się, że to wczora dopiero było.

Chryste Panie, a tu starczyło, by się człowiek sterał docna, by na cmentarzu sześciu drobiazgu pochował i gospodarza samego.

Oj świecie! świecie...

A teraz to ta już pewnikiem ostatni raz po tej drodze idę, a potem to mnie ta już powiozą, do onej świętej ziemi kochanej, której człowiek służył całe życie, która go karmiła i na śmierć utuli, przygarnie na sen ostatni. Oj czas już, czas, dość się człowiek nażył, dość nabiedował, niechta ma raz niedziele.

Zabiełił się wreszcie przed nią kościół, znaczący się białą wieżą na ciemnem tle jodłowych borów.

— A no i doszłam — pomyślała z radością wielką Marcjanna, wchodząc w głąb nawy.

A słońce świeciło, bystre, zimowe słońce przeciekało przez kolorowe szyby i falą blasków zalewało kościół i zdał się Marcjannie dziwnie inny, świateczny, niedzielny, niby ten sam, a przecież inny.

Kochany kościół, który znał jej wszystkie zmartwienia, do którego niosła każdy swój ból i każdą radość, przyjaciel stary.

Szła Marcjanna w światło, mrugając oczyma, i coś z tego światła spływało jej w duszę ciszą słodką, dziwną, nieznaną.

Może to Bóg był blisko.

Ksiądz Andrzej właśnie z konfesjonu wychodził i spojrzał w jej twarz sino bladą i w te oczy pełne promieni, ciche, radosne, zapatrzone kędyś w dal.

— Co wam to, kobieto?

— Do spowiedzi przyszedłam, Pana Jezusa przyjąć przede śmiercią.

I podnosząc ku niemu oczy radosne, dorzuciła:

— Bo mi ta już i czas.

Sulimirski szedł, wałęsał się już od godzin całych po lesie. Białe, lśniące śnieg skrzypiał mu pod nogami, wokół drzemał las jodłowy pod nawałą śniegu, zaszronione gałęzie zwisały bezwolnie, szare pnie jodeł jak las kolumn strzelistych pięły się ku błękitnemu niebu. Śnieg iskrzył

się w słońcu rażącą oczy bielą, słały się od drzew długie cienie o barwie ultramaryny, w mroźnych podmuchach lecących kędyś od Babiej góry, co granitową zjawą drzemała woddali, szedł rzeźki wiew radości, siły, zdrowia. Sulimirski biegł po śniegu z taką radością, jak za lat dziecinnych, gdy na torze saneczkowym ciągnął swoje sanki, a las gwarzył, osypywał z gałęzi z metalicznym chrzęstem puch zmarzłego śniegu.

Oczy Jana śledziły ślady na śniegu, o tedy te skoki długie, to zające hycaly pewno, jako to lubią w księżycowe noce, ta droga kręta drobnych śladów, to swawolnych wiewiórek tan, a tam wrony odcisnęły łapy, a tu to chyba dziki żerowały, bo śnieg stratowany docna.

Nagle oderwał wzrok od śladów i przystanął zachwycony, wzruszony, w przeczystym, mroźnem powietrzu wstała wdali wizja Tatr w słońcu i w śniegu, od błękitnego nieba odcinały się majestatycznie, wspaniałe, cudne!

Takie zda się bliskie, a takie przecież dalekie! Takie piękne! O takie niewymownie piękne!

Jakże wielkim jesteś Ty, któryś je stworzył. Ty Panie! Ty Boże!

Nagle dalekie szczyty zapłonęły różem, rozjarzyły purpura, zachodziło słońce.

— Więc ja tu już błędę kilka godzin, a jednak nie czuję ani znużenia, ani chęci powrotu.

— Świecę dzisiaj swój powrót do życia, swoje święto uzdrowienia. Po długich, długich miesiącach choroby przymusowej wśród czterech ścian niewoli do życia wracam i cieszę się niem!

Tak, radość miał w duszy, radość zrodzona z cudu tych gór, żarzących się w słońcu, z tego

dnia mroźnego, z błękitu nieba i bieli niepokalanej śniegu, z tego piękna, które powstało nagle przed nim w całej swojej porywającej potędze. Słoneczna, pogodna, cicha radość, co głębi jaźni sięga i przejmując ją niesamowitą mocą i duszy ludzkiej uzdrowienie niesie.

Niebo zwolna mierzchło, zacierało się, gasła panorama Tatr, aż zgasła.

Sulimirski zawrócił, ale teraz jodłowy las ze swojemi szaremi kolumnami pni, wydał mu się kościołem, a szept wiatru lecącego po gałęziach, dalekim dźwiękiem organów o Bogu gwarzył.

Zrozumiał, z jakiego źródła płynęła owa wiara czysta i wielka mieszkająca w duszy jego gospodarzy, przecież ten potężny, twórczy cud Boga musiał w tych duszach wywołać wielką ufność, jak i w jego duszy poruszył wszystkie dobre struny.

Mrok już był, gdy do chaty przyszedł, w progu przywitała go Anielka nowina:

— Wicie, matusia umarła dziś popołudniu, wróciła z kościoła i umarła. Samam się teraz została sierota.

Zapłakała cicho, wtulając głowę w ręce, a jego nagle ogarnęła litość, dobroć zrodzona kiedyś tam w zapatrzeniu na szczyty słoneczne; był to drugi człowiek, jak on biedny, jak on wydziedziczony, jak on samotny.

Pochylił się nagle i przyciągnął ją w uścisk, jakim brat obejmuje siostrę, bardzo drogą i bardzo biedną:

— Nie jesteś sama...

I echem zadzwoniło mu w duszy: Nie jesteś sam...

ROZDZIAŁ VI.

Ale od owej chwili unikali się wzajemnie, coś obcego stało się między nimi, może mu było żal chwilowego wybuchu, ona zaś rozumiała, że to jeno litość była i była mu wdzięczna bezmiernie, ale i zawstydzona czegoś. A zresztą w chałupie leżał trup matki i czekał pogrzebu.

Wrócili właśnie z cmentarza. Sulimirski do siebie poszedł i zamknął drzwi; w izbie w której jeszcze snuł się zapach świece, została Anielka i najbliżsi krewni, nagotowała już tymczasem stara Jaga od Marchwiaków kawy i nakrajała chleba ze serem, a dla gospodarzy postawiła na stole flaszkę okowity. Pili, jedli, wspominali cnoty nieboszczki, baby wzdychały, lampka naftowa rzucała słabe światło w głąb izby, do potwornych rozmiarów rosły cienie głów na białej ścianie.

— Ostałaś się sama Janielciu, sama, jako ten palec, chałupa i gront też ostał, jako sirota przez gospodarzy. Trza jakoś radzić.

Chrzestny Anielki, Antoni Gibała, siwiejącą przegarnął czuprynę i łyknął kieliszek okowity, obcierając wierzchem dłoni zawiesziste wąsy.

— Marcjanne my, Panie święty, pochowali, jako się patrzy, kobita była godna i robotliwa, niech jej ta Pan Jezus miłosierny grzechy przebacz. Teraz my ci się ostali najbliżsi. Wieprzozka słyszę przedałaś na pogrzeb.

— Sprzedałam, — potwierdziła apatycznie Anielka, w myśli była jeszcze na grobie matki, miała przed oczyma te glinę, która się nad trumną zawarła, dławiło ją jeszcze w gardle łzami.

Gibała spozirzał rozbieganemi oczyma po ką-
tach izby.

— Żleś zrobiła, bo mogłaś do mnie jako do
krewniaka przyjść, a byłbym ci tyż zapłacił jak
się patrzy. No, ale stało się. Pomyślałaś ty se już
Janielciu, co teraz z tobą będzie?

Podniosła głowę:

— A cóż ma być? Gospodarzyć będę i na wy-
robek chodzić, jak dotąd i już.

— Hym... Tak ci się to dziwce lekko widzi, ale
gospodarkę zmarnisz i siebie styrasz. Najlepiej by
ci było, grunt i chałupę nam spuścić, a samej do
dworu na służbę iść. Wezmą cię, bo cie jejmościna-
ka lubią, boś cicha i robotna, pensyje byś miała,
jadło jak się patrzy, a my by ci chałupy i gruntu
przypilnowali, jak swojego.

— Chrzestny dobrze radzi, Janielciu, — przy-
twardziła Gibałowa.

— Cie! — odezwiała się od pieca stara Jaga. —
Też radzicie la siebie, nie la niej.

— Ja ta na gront nie łakomy, ze swoim ledwo
wydolę, sierocińskie nie żywi. My ci z serca do-
brego jeno pomóc chcieli, jak Boga kocham.

— Nie zaklinajcie się gospodarzu, bo grzech, —
zadzźwięczało drwiąco od pieca. — Poco ma na
cudze iść, jak na swoim może siedzieć. Mnie tyż
tak brat poradził, jak byłam młoda, jeno, że ja
głupia byłam i posłuchałam, służywałam po lu-
dziach, służywałam a brat na groncie siedział.
A jak siły sterałam i do swojaków wróciłam, to
mi bratowe dzieci, do sądu kazowały iść, bo im
ocieć swoje i moje zapisał, a w sądzie mi powie-
dzieli, że jak dwadzieścia lat używał, bez sprze-
ciwu mojego, to i po prawie gront jego. I co, po

chałupach się tułam, wyrabiam, przez te ludzka
dobroć, co mnie wyścigała z domu, jak wy ja
teraz wyścigać chcecie.

— Zamknijże gębę, bo nie do ciebie mówią, —
huknął Gibała.

— Chcecie ją wykierować, jak brat mnie i już!

— Jaga, bo mnie już z pasji ręka swędzi.

— Spróbujcie jeno, gospodarzu, spróbujcie...
I ja polano nie od parady trzymam, a siłę w garści
mam, chociażem stara.

Porwał się Gibała, żyły mu na czole nabrzmia-
ły i krwią zaszczyły.

Ale już Anielka skoczyła i skłoniła mu się do
ręki pokornie.

— Ja wiem, ojcie chrzestny, co mi dobrze
chcecie. Ale ja se już tak postanowiłam, że
wszystko będzie, jak było, nie żlijcie się ale człe-
kowi na swoim najlepiej.

Gibała siadł zpowrotem, z żalem tułały się
jego oczy po bielonych ścianach, tak sobie to
„piknie“ wykombinował. Anielciaby na służbę po-
szła, a oniby gospodarzyli, jak na swoim. Cha-
łupęby w komorne dali, a jakby Milcia zamaż-
szła, byłaby dla niej, a ich własna dla starszej
Tekluni... A no...

Poskrobał się po głowie i łyknął kieliszek.

— Twarda dziwka, a jeszcze tamta stara do-
gaduje, czekaj, dam ci len do przedzenia... jeno
ty się pokaż u nas w chałupie, przeklętnico.

Próbował jeszcze, ale już bez nadziei przeko-
nania Anielci:

— Dziwce, bój się Boga, ty se to tak lekko
myślisz, abo to wydolisz gospodarowaniu przez
chłopa?

— Jak Bóg da, to poradzę.

— A no to se radź! Obaczmy, jak ta długo tego gospodarowania będzie i jakie.

— Jedziech chrzestna.

— Dyć jem.

— No, a może ci chłopą wyszukać? — odezwał się milczący dotąd Wawrzyniec Gigoń. — Franek co u Wójtów służy, tylo ma bogactwa co na grzbiecie, ale robotny jest, we dwoje, by wam ta szło. On ta na urodę nie łakomy, jeno na gront. Wzięłby cie pewnikiem.

— Nie pójdę zamaż.

— Cie! Powiedziała, co powiedziała, zawdy, mojaś ty, we dwoje weselej.

— Nie chce. Wyżyłam tyła roków przez chłopą, wyżyje i dalej.

— A cóż ten twój pon? — Gibała palcem na sąsiednią izbę wskazał. — Wybierze się?

— Nie wiem.

— Wicie... wicie... — Gibałowa oczy w górę podniosła, jakgdyby pułap wzywała na ratunek.

— Chrzestny ci jestem, Janielciu, roki swoje już masz, robisz, jak ci lepiej, jedno ci tylko rzeke, patrz, żebyś duszy nie zaprzepaściła. Bo już i tak ludziska gadają.

— Co gadają?

— A no, gadają co ta mogą... różnie. — Gibała wstał, bo fiaska dnem zaświeciła, wasy obtarł i na babę kiwnął:

— Zabierajmy się, Doroto, nie tu po nas, jako że tu nasze słowo nijakiego waloru nie ma... Ostań z Bogiem, Janielciu...

Zatrzymał się w progu, bo go dziewczyna pocałowała w rękę, więc go to trochę udobruchało.

— A jakbyś krowę sprzedawała, to nikaj nie chodź, jeno do mnie, pamiętaj, zapłacę lepiej jak inni, a co familija, to familija...

Wyszli.

W izbie zaległa cisza. Gigoń kawę dopił i też się zebrał. U komina gospodarowała jeszcze Jaga. Milczały obie.

W skołatanej głowie Anieli myśli się snuły, przymknęła oczy, zdawało się jej, że ją znowu obejmują jego ramiona, że chyli się nad nią jego twarz, dobroci pełna.

— Nie jesteś sama...

A jednak tak bardzo, tak bardzo czuła się samą, jak nigdy jeszcze w życiu.

Ktoś zastukał, porwały się obie z Jagą przeżalone.

Chłopak to był od wójta, przyniósł list do pana Sulimirskiego i przekaz na pieniądze, trzeba się po nie było samemu na pocztę zgłosić. Poczęstowała go Anielka resztą kawy, na przekaz spojrzała mimochodem, suma tam wypisana wydała się jej taką wielką, jak jemu wydała się mała.

Zastukała do drzwi i oddała mu pocztę nie wchodząc.

Stał przed nią w półmroku izby, wysoki i smukły, w jego ciemnobłękitnych oczach był smutek.

— Poszli już wszyscy?

— Nie, Jaga jeszcze statki zmywa...

— Chciałbym z tobą potem pomówić, Anielko.

Cofnęła się, a on drzwi zamknął i list otworzył. Donoszono mu z domu, gdzie niegdyś mieszkali jego rodzice, że matka zaraz na początku

wojny sprzedawała wszystko i przeniosła się zagranicę, ojciec był potem raz, by uregulować rachunki, czytali potem w dziennikach, że padł na wschodnim froncie. Poza tem nic więcej nie wiedzą. Fala się zamknęła nad kroplą, nic więcej.

Ukrył twarz w dłoniach, przesunęło mu się jasne dzieciństwo wspomnieniem.

I nigdy już... Pracy, jakieś pracy, aby nie oszaleć!

Ale skąd ją wziąć? Kto mu ją da, jemu, któremu co chwila grozi choroba?

Oto przychodzą czasem baby z listami do Ameryki, przychodzą dziewczęta, by im do żołnierzy pisać, przyniosą kilka jajek, masła garnuszek, ot i wszystko. A dzień ma tyle godzin, tyle niezapelnionych, boleśnie pustych godzin.

Spojrzał na czek, w pierwszym rzędzie z tej zaległej pensji Anielce trzeba zwrócić, a za to, co zostanie, do okrycia coś kupić. I co dalej?

Do izby wsunęła się Anielka, nie zauważył nawet, że weszła.

— Chcieliście mówić ze mną...

— Ach, to ty... Tak, chciałem mówić z tobą, Anielko.

— Właściwie o czym? — przesunęło mu się pytanie. Spojrzał ku niej, stała przy stoliku, brzydsza jeszcze, niż zazwyczaj, bo oczy i usta miała zapuchnięte od płaczu.

— Urodna bo nie jest — pomyślał.

— Siadajże, przecież teraz nas dwoje tylko zostało i musimy z sobą pomówić otwarcie.

Usiadła na krajeжку stołka, drżącymi palcami zgarniając i rozgarniając fałdy fartucha. Darem-

nie usiłowała odgadnąć, o czym właściwie mówić będą...

A Sulimirski znowu milczał, tak mu było trudno powiedzieć, tak bezmiernie trudno.

Wreszcie spojrzał ku niej.

— Słyszałem, co ci ten Gibala mówił, słysząc tu było każde słowo. Może on i słuszność ma, ten twój chrzestny.

— Niby z czym?

— Że gdybym tu u ciebie dalej mieszkał, gadanoby niestworzone rzeczy, boć młodzi jesteśmy oboje.

— Mam już dwudziesty czwarty rok, a co im ta do mnie. Chcą gadać, niech gadają, baby zawdy plotkować muszą, a zimą najbardziej, bo czemżeby czas zabiły.

— Tak... tylko...

— Przyzwyczajają się i ustana.

Pokusą ogarnęła go myśl, więc niech zostanie jak jest...

Ale przypomniał sobie jej dobroć, jej troskliwość, wszystko co jej zawdzięczał, i nagle zmienił zamiar.

— Nie chciałbym ci krzywdy czynić, Anielko, i niewdzięcznością odpłacać za twoją dobroć... Nie chciałbym, by przeze mnie ludzie źle o tobie mówili.

— Odejść chcecie?...

Pytanie padło szeptem prawie.

— Wali się na człowieka, to się wali — myślała ze smutkiem wielkim, dusiły w gardle łzy. — Że też akuratnie słyszeć musiał... A no, jak chrzestny głos podniesie, to i głuchyby usłyszał, nie dziwota więc...

Oczy ją piekły niewypłakanymi łzami, zacisnęły się kurczowo palce.

Ot, i koniec...

Sulimirski po izbie chodził w milczeniu.

— Nie mam dokąd odejść, Anielciu... Nędzarz jestem bezdomny, człowiek chory. Po moich ślad przepadł. W liście, który mi przyniosłaś, jest właśnie wiadomość, że mój ojciec zginął w czasie wojny, matka na początku wojny jeszcze wyjechała zagranicę; gdzie przebywa obecnie, niewiadomo, może ją odnajdę kiedyś, może i nigdy nie zobaczę... Pensja, którą mi przyznali, jest bardzo mała, w mieście z niej wyżyć nieposób...

Zawahał się i kończył...

— Gdybyśmy jednak połączyli nasze dole, wystarczyłoby razem na życie...

Podniosła ku niemu oczy pytające:

— Niby jak?

Do okna podszedł i patrzył w noc ciemną, mroczną poza niemi.

Dalekiem wspomnieniem wracała mu wizja rąk białych, smukłych, wypieszczonych, twarzyczki cudnej w fali włosów złotych i oczu bolesnych:

— Wróć... poruczniku...

— Nie wróćę, słodka, mała, ukochana Lo, nigdy nie wróćę, bo gdybym wrócił, twój lokaj miałby wątpliwości, czy pieniąż mi wsunąć w jałmużnię, czy za drzwi wyrzucić, a te same wątpliwości mogłabyś mieć i ty, słodka, mała Lo.

A jednak kochaliśmy się niegdyś tak bardzo, tak pięknie kochali, i gdym o żonie myślał, to widywałem ciebie, cudna dziewczyno, ciebie jedną...

A dziś... Minęło...

Szorstko i niemal nieprzyjaźnie zadzwieczało w izbie:

— Gdybyśmy się pobrali, Anielko...

Ona odczuła niechęć w jego głosie, purpura rumieńca rozpalila jej twarz pochyloną, czyniąc ją niemal ładną.

— Możecie, panie, mieszkać, jak mieszkacie, a ja wam będę usługiwać, jak usługiwałam. Że ludzie będą obnosić, to nic, jak człowiek w sumieniu czysty, to mu ludzkie gadanie obojętne. Zamąż się nie wybieram.

Spojrzał ku niej zdziwiony i zakłopotany teraz i on.

— Dlaczego?

— Wyście nie dla mnie, byłabym wam może w życiu jeno zawadą, w innym żeście świecie wyrosli, w dodatku brzydka jestem i miłować mnie trudno.

— Jesteś dobra i winienem ci życie.

W głosie Sulimirskiego była teraz słodycz uczucia:

— Nie mogę ci powiedzieć, że cię kocham, jak mężczyzna zazwyczaj kocha kobiety, bo skłamałbym; ale kocham cię jak brat siostrę dobrą, a to może nawet więcej znaczy. Moje dawne życie pozostało poza mną, nie wracać mi do niego, ani do świata, z którego wyszedł, spróbujmy więc z gruzów zbudować nowe życie... Spróbujmy założyć gniazdo i żyć w niem, jak Bóg przykazał. Sam jestem i pragnę serca.

Dziewczyna płakała. Było to dla niej wszystko takie nowe. niespodziewane, nieoczekiwane.

Oj, gdyby matuś żyła, co by też powiedziała? A ojciec? A teraz ani się kogo poradzić, ani nikomu radości powierzyć, ani zapytać.

Pochylił się ku niej, przygarnął.

— Więc cóż, spróbujemy, Anielko?

Spojrzała ku niemu z nagle rozbudzoną trwogą.

— A jak się wasi odnajdą?... Ja jestem prosta dziewczyna, anim urodna, ani bogaczka. Co by wasza matka na to powiedziała, pomyślcie.

Coby matka powiedziała?

Zamajaczyła mu w pamięci jej wytworna postać. Zapewne, że nie byłaby zachwycona synową. Ale czyż ta dziewczyna nie uratowała mu życia, czyż bez jej pomocy nie byłby skończył może, jak pies bezdomny pod płotem, a zresztą czyż wogóle tamten świat, do którego niegdyś należał, nie zamknął się przed nim bezpowrotnie? Życie wyrzuciło go poza nawias, włóczęga mogła zabić moralnie, ta chata była jedyną deską ratunku, jedyną dającą możliwość uczciwego życia.

— Sami jesteśmy, Anielko, ja i ty... A życie jakoś przeżyć trzeba, we dwoje będzie nam lżej. Żeby tylko jaką pracę wydestać, żeby tylko mieć czem zapełnić czas.

Skinęła głową, rozumiała go, o! bez pracy to ciężko, nijako, onaby sama nie wytrzymała takiego życia. Niedziela jak przyjdzie, to się jej tak dzień dłuży, jak nigdy, ziewanie jeno zbiera i męczy. Wiosną, w lecie, to się ta człek jeszcze położy do słoneczka pod jabłonią i wyśpi się za cały tydzień, ale zimą... Nad książką oczy się zamykają, a myśl ani rusz nie chce tego pisanego ro-

zumieć. Zimą, to przecież nawet słońce wcześniej spać chodzi, bo mu nudno, a coś dopiero człowiekowi. Robotne dni to zleca, ani człowiek wie, jak i kiedy, od pracy się idzie do pracy, ale niedziela! A on zawdy ma przecież niedzielę, nieboraczek.

A co, zabiorę się jutro i pójde do pana, w rękę pocałuję i będę prosić, może go pan na gajnego weźmie. Jeno mu teraz nic nie powiem, nic, żeby się po próżnicy nie cieszył.

Uśmiechnęła się radośnie, a on pytał, chyląc ku niej bladą, zmęczoną, ale piękną głowę:

— Więc damy jutro na zapowiedzi, Anielko?

— I wy naprawdę?

— Naprawdę.

Jego ręka ujęła jej dłoń i oplótła się wokół niej pieszczotliwie, i siedzieli tak obok siebie w milczeniu, a w kominie wicher lkał, płakał, wstrząsał chatą, rozbijał się o jej bierwiona z oblędną siłą.

Myśli ich szły rozbieżnymi drogami.

Anielka o gospodarstwie myślała, o tem, że wieprzka trzeba będzie znowu kupić, a jarzębiata na jajach posadzić, by w marcu kurczęta wywieść, że chatę wybielić trzeba, porządki porobić, a potem....

Nieśmiało patrzyła na Sulimirskiego.

Nie patrzył na nią, jego szeroko rozwarte oczy patrzyły w mrok snujący się za oknami, szły gdzieś, śladami wspomnień.

Tułał się duszą po życiu minionem, przesuwali mu się w pamięci kobiece postaci różne, dziś obce, dalekie, prawie że zapomniane, przypominały mu się dłonie miękkie, pieściwe, pachnące, dłonie

kwiatom podobne, a w jego ręce spoczywała ręka szorstka, twarda, spracowana, którą przygarnął na życie całe.

Jakie będzie to życie?

ROZDZIAŁ VII.

— Pan jest?

— A jest, w kancelarji, na dole?

— Sam?

— Zdaje się, że sam.

Walerka, służąca od zarządcy, przerwała obcieranie talerza, jej małe, tępe oczy rozblysnęły ciekawością.

— A poco Anielcia do pana?

— Proszę mam.

— Pewnikiem o zapomogę. Tyle się tyż na Anielcie zważyło nieszczęścia i wydatków, że chyba wydolić trudno. Smutno musi być w chałupie. Ot życie ludzkie, dziś człowiek pracuje, a jutro go już do tej świętej ziemi złożą i koniec. Ale Anielcia nie taka sama, bo mówiła mi Gibałowa, że ten Anielcin pan dalej mieszka.

— A mieszka.

— I takeście sami jeno w chałupie?! No, no... Różnie ta już po wsi mówią, ja tak Anielci z życzliwości, obnoszą, oj obnoszą, że i suchej nitki niedługo nie ostawia. Szkoda się Janielci zatracać, dla takiego jakiegoś włóczęgi.

— Niedługo ta już będzie tego obnoszenia.

— Wynosi się?

— Nie, ale się żeni.

— Niby z kim?

— A ze mną.

— Jezus, Maryja!

Walerce talerz się wysunął i rozprysnął na setki kawałków na kamiennej posadzce. Anielka się pochyliła szybko, by je pozbierać, a w starej pannie nurtowała zazdrość.

— No wicie, to sobie Anielcia kawalira wykarmiła. Prędzejby się śmierci spodziewała niż takiej nowiny. Nic, jeno mu rozum na wojnie zamaciło, biedakowi. Przecie to podobno człowiek kształcony, z dobrej familji i gdzież jemu na roli ostawać, znudzi mu się za miesiąc i odleci cię ani chybi.

Anielka już nie słuchała, schodziła po schodach do kancelarji i myślała, co pan powie na jej prośbę, i jak go prosić.

Serce jej biło, dygotały kolana, a w gardle dusiło. Zastukała.

— Proszę.

— Niech będzie pochwalony.

Od biurka spojrzały na nią uroczne czarne oczy z młodej, smagłej twarzy.

— Czegóż tam Wielgusówna chce?

— Ja przyszłam... przyszłam...

I nagle gruchnęła mu do kolan, opowiadając bezładnie, dławiąc się łzami, chyląc gu jego bu-
tom swoją młodą twarz.

Tadeusz Rencki zerwał się, cofnął.

— A niechże Anielcia wstanie, jakżeż można, przecież wszyscy ludźmi jesteśmy.

Wskazał jej stółek, usiadła, jego dobroć po-
działała na nią uspokajająco, mówiła teraz jasno, wyraźnie, chociaż czasami głos nabrzmiewał łza-

mi i rwał się pełnią uczucia. On słuchał, — widział Sulimirskiego kilka razy zdaleka, w przechodzie, zapamiętał jego ruchy wytworne i swoje własne, stare ubranie na nim, było mu żal. Teraz słuchał o jego chorobie, o jego nędzy, o projekcie małżeństwa z Anielką.

Gajowym...

Ostatecznie... człowiek człowiekowi pomagać powinien, Bryś stary na pensję i tak pójdzie, mógłby ten... Ale czy przy swojej chorobie rewiru nie zaniedba, czy podoła? Spróbować można, tymczasowo, na kilka miesięcy, nie wiążąc się obietnicą co dalej.

Przerwał jej:

— Mówiono mi, że pan Sulimirski jest chory na epilepsję, na padaczkę — dorzucił, widząc, że go nie rozumiała. — Czy napady przychodzą często?

— Rozmaicie, proszę wielmożnego pana, czasem i tydzień zejdzie i ani razu go nie rzuci, a czasem, to i dwa razy na dzień złapie.

— Widzisz... a jak będzie chory, to któż za niego rewir obejdzie, służbę zrobi?

Podniosła głowę:

— Dyć ja.

— Ty?

— Silna jestem i zdrowa za dwoje, a żem uczciwa i jak pies wierna, to pan rządca wie, tylochna lat już wyrabiam we dworze.

— Wiem.

Wahał się, papierosa palił, wreszcie rzucił:

— Więc ostatecznie... niech Anielcia powie panu Sulimirskiemu, żeby tu do mnie przyszedł, dziś po południu. Zobaczymy, spróbujemy.

Rzuciła mu się do rąk, cofnął je szybko, śmiejąc się zakłopotany, ale gdy wychodziła, pomyślał, że ta brzydka, prosta dziewczyna potrafiła jednak wyżebrać kawałek chleba dla swego kochania.

Rzucił papierosa i poszedł na górę.

Objęły go młode ramiona żony, przyciągnął ją do siebie i opowiedział historię Anielci i Sulimirskiego. A cudne, orzechowe oczy pani Wandy rozbłysły wzruszeniem.

— Zrobisz co dla niego?

— Czy ja wiem, zobaczę, co to za człowiek. Syn pułkownika podobno.

— Biedak.

— Będzie to jednak trochę kłopotliwe, bo przecież gajowego nie mogę traktować, jak człowieka z tej samej sfery. Spróbować z nim można, ale czy się utrzyma?

— Na miejsce Brysia — podsunęła pani — stary, już i tak miał iść na pensję.

— Na jego miejsce miał iść syn Górniego.

— Ach, temu łatwiej się o coś zaczepić, zresztą ma grunt, dom po ojcach.

— Swoją drogą mnie też żal tego człowieka; ciekawy typ, że się zdecydował na małżeństwo z taką prostą, a w dodatku tak serdecznie brzydką dziewczyną. Czy to konieczność życiowa, czy zbyt wygórowane pojęcie wdzięczności, ja jednak na jego miejscu, wołałbym w łeb sobie palić, niż się tak dobrowolnie żywcem grzebać.

— Widzisz, Tadku, to byłaby jednak ucieczka z życia, a uciekają tylko słabi.

— Piękny komplement pod moim adresem.

— Bo ty tylko tak mówisz; gdybyś jednak był w podobnem położeniu, jestem przekonana, że też wyteżyłbyś wszystkie siły, by walczyć o życie, o prawa do niego i zdobyć je. A gdyby ta deska ratunku miała być silna, uczciwa, choć tak twarda i spracowana ręka, pochwyciłbyś ją, równie uczciwie i silnie.

Tadeusz Rencki zapalił papierosa i uśmiechnął się.

— Może. Człowiek bowiem mówi: postąpiłbym tak, lub tak. Ale właściwie, to sam nie wie, coby uczynił. Przywiązanie do życia jest w każdym z nas silne bezmiernie, a skok w przepaść łatwo da się wykonać w podnieceniu, trudniej gdy go przemyślimy. W człowieku bowiem jest lęk Boga. Ale pomyśl, czy takie przemyślane małżeństwo nie jest także swojego rodzaju skokiem w przepaść.

— Wszystko w życiu ma tylko wąską linię graniczną, poza każdym dobrem może się kryć zło, i odwrotnie, zależy to zdaje się najwięcej od nas samych.

— Zapewne.

— Więc ten człowiek przyjdzie dziś do ciebie?

— Tak.

— Zaproś go na górę.

— Poco, Wanduś? Pracę mu dać mogę, ale wciągać go w nasze koło, poco?! Utrudniałoby to tylko wzajemny stosunek służbowy, niepotrzebnie zaznaczałoby jakieś wyróżnienie, rozgoryczało innych. Musimy go pozostawić w środowisku, jakie sobie wybrał.

— Tak, zapewne jest to najrozsądniej, ale...

— Niema ale, kochanie. Gdy byłem młodym chłopcem, przywabiłem raz na wakacjach psa sąsiada, chodził ze mną, jadł z nami, sprzeniewierzył się najzupełniej swojemu panu, pieściłem go, zdawało mi się, że robię mu pewnego rodzaju dobrodziejstwo. Potem naturalnie wyjechałem, a pies został, bo nie był moim. No i wiesz, co się stało? Zdechł z tęsknoty. Nie mógł się przyzwyczaić do dawnego wikt, do dawnych stosunków, zagłodził się. Dowiedziawszy się o tem, odniosłem wrażenie ogromnie przykre, że wyrządziłem temu stworzeniu krzywdę, pieszcząc go i psując przez czas wakacji. Odtąd zrozumiałem, że niezawsze świadczona dobroć zawiera w sobie dobro dla tego, komu ją świadczymy.

— Człowiek nie jest psem, Tadku.

— Człowiek jest właśnie wrażliwszym i łatwiej jeszcze krzywdę mu wyrządzić. Bo pomyśl, czyż przyszedłszy tu do nas, ten człowiek nie snułby mimowoli porównań między sobą a nami? Czy nie odczuwałby różnicy, chociażby w sposobie podania filiżanki herbaty twoją ręką, a owe go garnka, postawionego przed nim przez Anielkę? Czy za każdym razem nie wstawałby przed nim obraz przeszłości i nie budziła tęsknoty, nie rozkrwawiała ran zabliznionych, nie podkreślała braków dzisiejszego dnia, nie bolała? Czyż więc twoja dobroć nie wyrządzała mu również krzywdy, zamiast zsyłać ukojenie?

— Masz słuszość, Tadku, zostawmy go tam gdzie jest.

Pani Wanda przytuliła się do ramienia męża, milczeli oboje, na kominku drzewo bukowe strzelało radośnie, tchnęło ciepłem.

Na szyby mróz rzucał tkanki kwiatów dziwacznych, tak zacisznie, tak dobrze było im w tem gniazdku własnem.

- Tadku...
- Co, kochanie?
- Ale pracę mu dasz?
- Dam...

* * *

Sulimirski siedział w izbie, usiłując osadzić młotek na nowym, bukowym trzonie. Niebardzo mu to szło, ręka była niewprawną, a drzewo mało podatne. Nagle drzwi się otworzyły z trzaskiem i wpadła Anielka roześmiana, zarumieniona mrozem, z oczyma iskrzącymi radością, wpadł z nią w duszne ciepło izby ożywczy chłód mroźnego dnia, zapachniało powietrzem, co tam gdzieś przyleciało z wichurą od mrocznych jodłowych borów Babiej czy Pilska. Spojrzała ku niemu roześmianymi oczyma i nagle radość jej przygasła w onieśmieleniu. Leciała jak warjotka w tę drogę powrotną, układała sobie, jak mu to wszystko powie, cieszyła się radością, którą mu sprawi, a teraz jakoś nie śmiała. Zdjęła chustkę i zaczęła ją składać troskliwie:

— Nowinę mam dla was, wiecie...

Spojrzał ku niej obojętnie, cóż za nowinę mogła mieć dla niego, ona? Może jarzębiata jajko zniosła, albo łatula dała o garnecek więcej mleka, to przecież były jej zwykłe nowiny. W najlepszym zaś razie jakaś przyjaciółka zapragnęła napisać do „Hameryki“.

— Nie ciekawiście?

— Ale owszem, ogromnie jestem ciekawy...

— Byłam na zarządzie, u pana, obiecał wziąć was na próbę na gajowego, macie tam pójść dzisiaj popołudniu. Będziecie mieć pracę. A co, nie dobra nowina?

Sulimirski się porwał, ciemno błękitne oczy rozblysły radością, ale równocześnie ścisnął mu serce ten szalony, potworny, dławiący lęk, który zawsze czuł przed nadchodzącym atakiem. Ten lęk, który gnał go wkrąg po izbie bez celu, bez drogi, kazał czepiać się ścian, ten lęk...

Anielcia dojrzała, jak ta ukochana twarz przybiera barwę szaro-zieloną, jak szeroko rozwarte, nieprzytomne oczy, z błędem rozpaczy tułają się od ściany do ściany, a z ust wydiera belkot niezrozumianych słów.

— Jezusie...

Jej zdławiony krzyk i jego jęk spłotły się w jedno. Runął.

Nogi kopały sklepisko, darły go palce niespokojne. A twarz sina, czarna prawie od naporu krwi drżała straszną męką, konania, które konaniem nie jest.

Dziewczyna blada jak płótno podłożyła mu poduszkę pod tę nieprzytomną, bolesną głowę i czekała, aż mu to przejdzie, a wielkie, ciche łzy toczyły się po jej bladej twarzy i spadały na jego ręce.

Jeszcze jeden skurcz, jeszcze jeden. Siność zaczęła ustępować, błędne oczy się otworzyły, oprzytomniały, odbiły jakiś wyraz dziwny, bólu graniczącego z rozkoszą i zamknęły, tym razem do spokojnego snu.

Anielka dźwignęła go teraz, na łóżko zaniósła, drżącymi ustami do ręki owisłej bezwładnie przylgnęła:

— Biedaku ty mój... Biedaku...

Żeby się jeno rozbudził na czas, myślała z troską, bo wiedziała z doświadczenia, że po ataku nachodził go sen trwający godzinami. Ale do południa daleko było jeszcze.

* * *

— Jestem Sulimirski, były porucznik ułanów, pan zarządca kazał mi się zgłosić, prawda?

— Tak. Rencki jestem.

Tadeusz Rencki rękę wyciągnął i w silny uścisk przygarnął wąż, smukłą rękę tamtego.

— Proszę, niech pan siada. — Podsunął mu papierosy. — Mówiła mi Wielgusówna, że pan szuka pracy, otóż mógłbym ją panu dać. Narazie zastępstwo gajowego, po kilkumiesięcznej zadowolającej służbie, możliwe, stałe miejsce. Rewir jednak jest rozległy: teren górzysty i wymaga dużego nakładu sił fizycznych, czy pan podola?

Błękitne oczy zmierzchły smutkiem.

— Może pan zarządca być pewnym, że będę się starał obowiązki wyznaczone spełniać sumiennie i uczciwie. Możliwość jakiegokolwiek pracy jest dla mnie takim wielkim dobrodziejstwem. Jednak muszę powiedzieć prawdę, w czasie wojny spadłem z konia, zemdląłem, wywiązało się zapalenie mózgu, wyzdrowiałem, ale zdaje się w mózgu pozostał jakiś odprysk kości, tkwi tam jeszcze i wywołuje ataki epileptyczne. Z początku nie zwracałem na to uwagi, występowały tak

rzadko, przy silniejszych wstrząśnieniach duchowych jedynie, następnie wzmożły się.

— Próbował się pan leczyć?

— Właściwie nie było kiedy. Dostałem się do niewoli, potem chorowałem na tyfus, uciekłem, poniewierałem się, jak zresztą nie ja jeden. Teraz uznany jako inwalida, nie należą już właściwie do składu armii, nie mam więc może prawa do ich szpitali, zaś leczenie prywatne przechodzi moją możliwość. Trzeba by się dać prześwietlić, poddać zapewne trepanacji czaszki, a to wszystko przedstawia koszt, dla mnie do pokrycia niemożliwe. Trzeba więc zdecydować się na dalszą vegetację, tak jak jest...

— A jednak, usunięcie tego odłamka kości mogłoby pana zupełnie uzdrowić.

— Albo uśmiercić, co jest także wprawdzie swojego rodzaju uzdrowieniem, ale... pomimo wszystko, człowiek kocha życie. Zresztą usunąć go tak czy tak nie mam za co, niech więc tkwi.

— Nie ma pan nikogo bliskiego?

— Najbliższych nikogo. Ojciec padł, jak mi doniesiono niedawno, gdzie matka wyjechała, nie mogłem się dowiedzieć. Z dalszych krewnych nie znam wielu, a przy tem, najciężiej przychodzi człowiekowi prosić o coś dla siebie u swoich.

— Tak, ale od krewnych mógłby się pan może dowiedzieć adresu matki.

— Doprawdy, nie przyszło mi to jakoś na myśl.

— Papierzy pan ma jakie?

Sulimirski podał je. Tadeusz Rencki przeglądnął w milczeniu i w milczeniu oddał.

— Wielgusówna mówiła mi o chorobie pana i o tych atakach, mówiła również, że służbę moglibyście pełnić we dwoje, więc przy tej pomocy może pan podola. Spróbujmy więc, zgłosi się pan jutro do gajowego Brysia i on pana wprowadzi w jego przyszłe obowiązki. Człowiek to prosty, ale doświadczony i rozumny. Dobry z pana strzelec?

Po szczupłej twarzy Sulimirskiego przesunął się błysk uśmiechu.

— Strzelałem pierwszorędnie.

Podniósł się.

— Dziękuję panu gorąco za pomoc, za pracę...

Rencki rękę wyciągnął i w silny uścisk przygarnął dłoń tamtego.

— Podziękuję mi pan pracę.

ROZDZIAŁ VIII.

Sulimirski siedł ze strzelbą przerzuconą przez ramię za Brysiem. W szarzejącym poranku znaczyły się ostre konturami plecy gajowego, szeroko rozrosłe, prawie kwadratowe i ostry profil. Była to pełna charakterystyki głowa o krótkiej, bujnej szczecinie włosów siwych, o twarzy suchej, opalonej na bronz, wargach wąskich, ściętych, nieustępliwych i oczach jasnych, prawie, że za jasnych do tej naogół ponurej twarzy. Bryś nie był rozmowny, a Sulimirski też, przeszli czasem obok siebie przez cały rewir, nie zamieniwszy słowa ponad konieczność. Stary fajkę pykał, czasem na coś uwagę zwrócił, ale gdy mówić nie musiał, to milczeć wolał, „bo co to dużo gadać,

z jałowego gadania nikomu nic, a słowo chłopu ważne być powinno i jak pieniądz mieć zawdy swoją wartość“.

Przestrzenia snuła się woń wiosny, budziła się już z zimowego długiego snu zieleń traw na południowych zboczach, gdy na północnych jeszcze śnieg leżał, po szkarpach się tulił, w zacieniu brózd spał. Nogi grzęzły w błocie, w roztopach, ciężka, gliniasta ziemia chwytła się butów, jak ręce jakieś natrętne, zaborcze, chciwe. Przeciekala wilgoć w głąb butów.

Ale przestrzenia snuła się ta nieuchwytna woń lecąca kędys od szczytów i ogarniała człowieka radością, teźyzną, zdrowiem.

Sulimirski myślą ścigał dzień wczorajszy.

Przypomniła mu się półmroczna nawa wiejskiego kościółka, naturalnie cała wieś się zleciała jak na widowisko, Anielka rozgadała. W pierwszej chwili ogarnął go gniew i dławiący żal do niej, ale potem pomyślał, że jej do zupełnego szczęścia było zapewne potrzeba tych oczu natrętnych, ciekawych, niech się więc cieszy.

Stała przy nim w swojej nowej, białej sukience a jej szeroko rozwarte oczy pełne były szczęścia i łez.

Biedna Anielka, tak obco, niezgrabnie wydawała mu się w tej sukience wąskiej, miejskim krojem uszytej, z grubemi łydkami w białych pończochach, wyobrażnia podsunęła mu inny obraz, daleki, kuszący... odepchnięty siłą.

— Ja, Jan, biorę sobie ciebie, Aniele...

Wraca mu własna przysięga wspomnieniem.

A potem ów cichy wieczór, jak każdego innego dnia. Anielka płakała cicho po kątach, może jej

było żal, że jej skrzypki nie zagrały, że jej nie ocepiono, że ten jej uroczysty dzień, taki był szary, jak i wszystkie inne.

A może myślała, że nie było komu do nóg paść o błogosławieństwo prosić, że tak wszystko jakoś inaczej było, niżeli we wsi bywa. Patrzyła ku niemu kornie, z przywiązaniem wielkiem, niepokojem, oczekiwaniem.

A o węgły chaty rozbijał się wiosenny wiatr.

Sulimirski schylił się, bo zaśmiał mu się blado liljowy kwiat krokusa u samych stóp, zerwał go.

Wiosna!

Bryś ku niemu zwrócił swoją suchą, ostrą twarz:

— Pójdziemy popatrzeć na wodę, lało całą noc, a wczora już była duża, jak lody w górach rusza, wyleje.

— Nie wydawała mi się wielka, gdy wychodziłem.

— U nas woda wzbiera we mgnieniu i we mgnieniu opada. Jak spokojna to pan dopilnuje ścinki tych krzaków na liljowem.

Kiwnął głową, bo mówić mu się nie chciało, w cichą modlitwę jodeł, które pieścił wiosenny, ciepły wiatr, głos ludzki wdzierał się rozdźwiękiem.

Schodzili teraz zboczem i oto nagle las się rozstał i rozścielił przed nimi daleki widok doliny, zasnutej mgłą nadrzecznymi oparów i ścielących się ku ziemi dymów.

Wstawał dzień, chmurny, mroźny dzień, z przyczajoną w mgłach zawieją śniegów, z ulewą nagłą i słońca wiosennego, mocarnym blaskiem. W dolinie wiła się coraz wyraźniej srebrna

wstęga strumienia, co nagle do rozmiarów rzeki urósł, waliły ku niemu z gór rozpętane z lodów wody, brudne, pienne, rozszalałe, wściekłe. Z szaleńczym chichotem pędziły w doliny biorąc ze sobą wszystko, piach, drzewo, kamień. Wdół! Wdół!

Bryś stanął, patrzył w milczeniu, jak przed niemi wśród wysokich, poszarpanych ścian jaru przelewały się wody rozszalałe z rykiem, szumem. Kotłowały, pieniały, rwały z potężną, niesamowitą mocą w doliny. Wyzwoliły się...

Lody pękły, spadły okowy, strumień oszalał, upił się wolnością, a jutro, pojutrze znowu będzie się sacył wąską wstęgą przeczystej wody, jakgdyby nie ten sam. Ale ile narobi szkody w tem mgnieniu niesamowitego szału. I w duszy ludzkiej tak i w życiu narodów, chwila wyzwolenia, szaleństwa, a potem znowu wąski tor wyznaczony od wieków.

— Lody w górach ruszyły, wiecie?

Usiłował stary przekrzyczeć szum strumienia.

— Noo...

— Wielga woda idzie, jeno patrzeć jak się za brzegi wyleje. Idźcie do domu, bo wasza chałupa nad wodą.

— A ścinka?

— Będzie dziś dość roboty z wodą, nikt do ścinki nie przyjdzie, chłopcy będą drzewo łowić, co im z pańskiego w dolinę niesie.

— A wolno to?

— Co woda niesie, bezpańskie jest.

Szli znowu w milczeniu po wykrotach.

Strumień, który rankiem, gdy Sulimirski z domu wychodził, miał wymiary rzeczki, teraz nagle

do potęgi rósł, przygarniał górskie wody, nabrzmiwał niemi, rozlewał się po wiklinach, bo mu się nagle ciasnem stało rodzinne koryto, darł piachy, szumem, gwarem, hukiem wypełniał dolinę.

— Żeby jeno deszczu Pan Jezus nie dał, to ta ku wieczorowi opadnie, ale wielka woda, wielka, groźna. O widzicie!

Palcem wskazał: strumień niósł sosnę, wyrwał ją gdzieś ze zbocza i niósł, przewalał ją: raz korona, raz korzeni płatanina wychylała się z brudnej fali.

Rosła z pięćdziesiąt lat i przyszło na nią...

W tej chwili z za chmur wyłoniło się bystre, wiosenne słońce, fala blasku zalała świat, wyblysłnął błękit i nagle lunęła struga deszczu, leciał ukosem i zdał się falą płynnego złota, skrzył, mienił się, niósł życie!

— Jak cudnie! — wyrwało się Sulimirskiemu.

Bryś spojrzał na niego zukosa, podnosząc kaptur swojej peleryny.

— Żeby was ta cudowność nie bardzo zmoczyła.

— A niech tam...

— Rozhulało się... Ano pójde do pana zarządcy zameldować, dworska łąka pod wodą też, a chłopskie żyto ino, ino... Skoczcie do chałupy, bo czasem to coś stoi jako ta sosna i runie we mgnieniu.

— Brzeg wysoki.

— Zawdy zboże, jak macie, to lepiej na strych dać, a bydło na góreczkę wygonić.

Sulimirski się roześmiał beztróskliwie:

— Mąka się już dawno skończyła, a cóż dopiero zboże! Dawno już Aniela kupuje.

— Ano, to i nie zмокnie.

Rozeszli się, Bryś w stronę dworu skręcił, Sulimirski ku chałupom szedł.

Cóż z tej słonecznej energii, z rozradowania wiosennego miał w sobie, przypomniła mu się piosenka dawno śpiewana i nucił ją teraz pełnią swego młodego głosu, jakgdyby opanować pragnął szum strumienia.

„Pojedziemy na łów, na łów, towarzyszu mój! Na łów, na łów, na łowy, do zielonej dąbrowy, towarzyszu mój!

Aż tam biegnie zając, zając, towarzyszu mój! Puszczaj charty ze smyczą, niech zająca uchwycą, towarzyszu mój!”

Nagle urwał, dostrzegł spojrzenie utkwionych w siebie oczu, złe, ponure, patrzyły mu w twarz wyzywająco.

— A ten czego chce? — przemknęło przez myśl Sulimirskiemu i ogładnął się bezwiednie, pragnąc zapamiętać tę obcą twarz.

A tamten też za nim głowę odwrócił, i raz jeszcze zbiegli się oczyma.

Sulimirski zapamiętał twarz młodą, junacką, smagłą, która kupiła się w dziwnym wyrazie, krzepła w nienawiści, z ostrą zarysowaną linią ust i szeroką blizną na lewej skroni.

Młody góral ręce w boki wparł, nogi szeroko rozstawił i patrzył, a te zawistne mściwe źrenice zgasiły nagle radość w Sulimirskim.

Za co? Dlaczego?

Tamten śliną przez zęby cyknął w ślad za nim.

W Sulimirskim zawrzała krew, ale się opanował, odwrócił i szybko swoją drogą szedł, a tamten też ku chałupom skręcił, mruczając półgłosem:

— Cie... pon!... Czarci go przynieśli, Bóg wie skąd, Janielcin kawaler. Matka do dworu jendora zanosła, trza było? Przyszedł obieżyświat jeden i miejsce diabli wzięli, a jendyka też...

Józek Górny potężną rękę w pięść zacisnął:

— Ano juści, pon za ponem ciągnie, zwachali się i już. Chuderlawiec taki. Poczekaj, będziesz ty miał co pilnować, jak ci Józek Górny zacznie pomagać w rewirze. Wylecisz, o wylecisz. psia-paro!

A od strumienia przyniosło znowu zwrotkę pieśni:

„A teraz się dzielmy, dzielmy, towarzyszu mój! Tobie zając i sarna, a mnie soból i panna, towarzyszu mój!...”

Resztę wchłonął wody szum.

Złośliwy uśmiech ściągnął suchą twarz Józka Górnego:

— Spiwaj se, spiwaj, przybłedo, nie ostoisz się u nas, ja w tem.

W młodej piersi górala ożyło coś z krwi dawnych „harnasiów”, rozdeły się nozdrza i krwawe rozblysły źrenice.

* * *

Sulimirski do chaty wszedł, zdawała się dygotać od huków, drzeć wszystkimi bierwionami, ukossem słońca promień wpadał i słał się jaskrawą smugą na sosnowej podłodze. Deszcz ustał tak

nagle, jak przyszedł, przewalały się po niebie kotłowiska chmur ciężkich, zimowych, deszczem czy śniegiem brzemiennych.

— Ale ci mnie złało!

Anielka roześmiana z podkasanemi po pas spódnicami, z łydkami ociekającymi wodą do izby wpadła, w rumieńcach cała, pachniała tą wiosną, deszczem, powietrzem.

Wydała mu się prawie ładna, śnieg białych, równych zębów lśnił z czerwieni warg rozchylonych pokusą...

...Żona... własna żona...

— Gdzieś była?

— Zagnałam krowę i wieprzka do Marchwiaków, bo nużby woda większa przyszła... Ale m zmokła... A ty?...

Zmieszała się nagle, bo się jej to „ty” pierwszy raz wyrwało.

A jemu nagle przypomniały się mściwe oczy górala i młoda, smagła, sucha, zakrzepla w wyrazie nienawiści twarz.

Czyżby i za nią... była przeszłość... W dźwięku głosu przyczaiło się znużenie i smutek.

— Słuchaj, Anielko, znasz ty we wsi takiego młodego, wysokiego chłopaka o czarnych oczach, z krótko przyciętym wąsem?

Opuściła spódnice podkasaną i szukała suchej na kołku.

— A bo to jeden we wsi wysoki... Dziobaty może?...

— Nie, przystojny chłopak, zdaje się ze szramą na skroni.

— Jużci nikt inny, jeno Józek Górny.

— Cóż to za jeden?

— Bogac, ojciec gruntu ma zatrzęsienie, chciał podobno na gajnego do dworu, na Brysiowe miejsce. A co wam o niego?...

— Nic. Mściwą ma twarz i złe oczy.

— Zawidzi wam.

Sulimirski zrozumiał teraz wyraz tej twarzy obcej, nigdy nie widzianej, ale równocześnie ogarnęła go, ku jego własnemu zdziwieniu, coś jak radość, że to jednak nie to, co przypuszczał.

Krokus zerwany podał żonie.

— Przyniosłem ci kwiatek...

Wzięła go w ręce, pochyliła nad nim twarz.

— Cie, wiosna... już wiosna...

Chałupa dygotała jak żywa od huku strumienia, a przez okno wglądało słońce. otaczało falą blasków głowę młodej kobiety, na mokrych włosach drżało.

— Wiosna!

Sulimirski ramionami nagle ją ogarnął, w rozchylone, drżące wargi wpił usta:

— Wiosna, Anielko...

* * *

Józik Górny szedł ku chałupom, kapelusz z piórkiem na ucho nasunął, ręce w kieszenie wsadził, drzwi kopnięciem nogi otworzył i do izby wszedł. Wysoki był, więc musiał się pochylić w progu, by łbem o oddzwia nie wyróżnać.

Przy piecu, na zydelku o trzech nogach siedziała Weronika, dziewczka od bydła i monotonna śpiewając godzinki, skrobała ziemniaki. Oj, trzeba

tego było dla tylochna gadziny. Wolowała była i podstarna już, ale pracowita i czysta, ze dwadzieścia roków już służywała u Górnych, a Józka pamiętała jeszcze małym skrabem, co się między nogami plątał z chorągiewką u rozpiętych porteczek wiszącą. Oj, lecą lata, lecą i ani człowiek wie, kany się to życie podziewa.

Westchnęła za onemi rokami, co tak kadyś przepadły bez śladu. Józik spojrzał na nią gniewnie.

— Matusia gdzie?

— Gospodyni w bokówce siedzą.

— A ociec?

— Gospodarz poszedł na rzykę pożyć, bo wielga.

Zająknęła się i dokończyć nie mogła, uśmiechnął się pogardliwie.

— Weronika, to do starości gadać się nie nauczy.

— Co mi ta... a Józik o co się znowu żli?

— Cie! Konfidentka! Krów się pytaj, nie mnie... Józik! Wicie! Cóż to, pasalem z tobą, czy co? Gospodarz jestem, ale nie żaden Józik la ciebie.

Poszedł do bokówki. Weronice łzy zaczęły kapać na skrobane ziemniaki.

— Gospodarz, gospodarz... tylochna mu razy nos ucierałam i co innego, a teraz gospodarz... Widzicie go, gospodarz... Kuźdy se człowieka biednego lekko waży. Haruj, haruj, jak ten koń, a ani ci słowa dobrego nie dadzą. Oj ludzie...

Zachłysłnęła się łzami, żalem i nos w zapaske uitała hałaśliwie.

Józef do bokówki wszedł, łóżka tu stały posłane wysoko pierzynami i poduszkami, uśmie-

chały się ze ścian świątki pogodnemi twarzami, a na oknie pelargonje krasily bujnem kwieciami.

Gaździna na skrzyni malowanej siedziała i pie-niędzy liczyła, schowane starannie między kartkami kalendarza; za wejściem syna głowę podniosła i zamknęła książkę. Bo już ta lepiej jak dzieciśka nie wiedza, ile człowiek ma w skrzyni.

— Ej Józik, ani Pana Boga nie pochwalisz, włączysz do domu, jak ten poganin.

— Dzieńdobry!

— Cale nie dobry, kiedy od Boga daleki. Duża woda?

— A duża, ino patrzeć, jak na Marchwiakowe pole wychluśnie.

— A nasze żyto?

— Ano, tyż zaleje, ani chybi.

— Jezusie! Tyłochna szkody.

— A niechby ta...

Porwała się.

— Oszalałeś chłopak?... Z rozumu cię obrało, czy co?

— Zaleje nas, to zaleje i innych.

Górna ręce załamała, a on do szyby twarz przylepił i patrzył tępo, jak się w gnojniku pod oknem kaczki taplały. Matka mu rękę na ramieniu położyła.

— Cóż ci to, Józus?

Wzdrygnął się.

— Wicie, widziałem tego, co ma na miejscu Brysia gajnym być. Na mojem miejscu!

— Masz chleba dość w chałupie.

— Dwóch nas jest na grunt, a Walek starszy.

— Będiesz ta bratu rodzonemu zawidził? Pomurzymy kiedy, to się gruntem i dobytkiem oździe-

licie kiedy po sprawiedliwości. Dzięki Panu Jezusowi jest dobra wszelakiego dość — łagodziła.

— Na swoim chciałem być, a nie waszej śmierci i bratowej łaski czekać.

— Cóż poradzisz? Zaniósłam jejmoścince jendyczka, coby za to ba dobre słowo przemówiła do pana, może się jeszcze jako odmieni.

— Już się odmieniło, jendyka zjedli, a ty, chłopie, naści fige i już.

— Pójdę jeszcze do jejmościnki.

— Tyż! Jest nowy gajny, to jest... Ale ja im tyż pokażę co umie, niech pilnuje rewiru, obaczmy, czy upilnuje.

— Józik, bój się Boga, duszy nie zatracaj!

Spojrzał ku niej krwią nabiegłymi oczyma.

— Nie mnie w drogę włożyć takiemu obieżyświatowi, wędrownemu, panu wielmożnemu, gdzieby zaś...

— Djabieł cię kusi.

Przeciągnął się, aż w stawach trzasnęło, i rzucił nagle z dygotem wewnętrznego łkania:

— A kusi...

* * *

— Górna przyszła, proszę jejmościnki.

W uchylonych drzwiach ukazała się złośliwie uśmiechnięta twarz Walerki i zniknęła zaraz. Pani Wanda odłożyła haft, namyslała się chwilę i do kuchni wyszła.

Gaździna siedziała na skraju stołka, wyprostowana, uroczyście, podniosła się i do ręki pochyliła.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki, wieków, Amen. Siadajcież, gospodyni...

— Przyszedłam się jejmoścince przypomnąć...

Górna zmięła koniec fartucha spracowanymi rękami i umilkła na chwilę.

Pani Rencka zakłopotane spojrzenie posłała w stronę Walerki, co się przy piecu rozparła i ani myślała odejść.

— Po wsi gadają, że po Brysiu miejsce już obsadzone.

— Moi drodzy, ja mówiłam mężowi, ale nie dało się nic zrobić, wasz chłopak do karczmy często zagląda.

— Który ta chłop, prosze jejmościnki, do kieliszka nie zaglądnie, żeby fantazją skrzepić? To ta jeszcze nic. Przyszedłam się ta jejmoścince pięknie pokłonić, przez świętych, jak to mówią, do Pana Boga, a przez panią do pana zawsze się jakoś trafi. Do dawnego pana zarządcy, to zawsze się z każdą prośbą bez kuchni chodziło i dobrze było, naród był zadowolony, bo pani panu przedstawiała, to zawsze pomogło, strasznie my dawnego państwa żalowali... — Zniżyła głos i wskazała kosz stojący na ziemi. — Kurczątko mi się wywiodły, niech ta Walercia do kurnika wpuści.

Rozczerwieniła się piękna pani.

— Dziękuję wam, gospodyni, ale nie mogę.

— Przecie mi takiej hańby nie zrobicie, żebych je miała do chałupy zabierać. Pomówicie z panem, to pomówicie, nie pomówicie, to nie, a kurczątko niechaj ostana, moja jejmościnko.

Do rąk się jej schyliła znowu.

— Za indyka wam jeszcze nie zapłaciłam, uciekliście wtedy.

— Ostawcie, jejmościnko, aż się więcej na zbiera. Ale przemówcie do pana, mój chłopak ani je, ani śpi, tłucze się po chałupie jak opętany. — Chlipnęła nagle i twarz zasłoniła fartuchem. — Boję się, że mi się jeszcze dziecko zmarni. Widzicie, hambitny jest, chciałby na swoim siedzieć, tak już wierzył, że na tego gajnego pójdzie, że teraz jak przez rozumu chodzi. Tak ja sobie myślę, pójdę do was, zawdy kobita kobite lepiej wyrozum, moja jejmościnko.

Buchnęła płaczem. Pani Wanda byłaby najchętniej uciekła, a Walerka pochyliła się nad koszem.

— Zabrać, proszę pani?

— Niech Walerka nie rusza!

— Moja jejmościnko, już mi ta tego nie róbcie, nie gardźcie. Dawni państwo zawdy ze wsią byli w zgodzie i dobrze im było, a nam przy nich.

Nagle drzwi jadalni rozwarły się i stanął w nich Tadeusz Rencki, szybkim spojrzeniem ogarnął kosz z kurczętami, oczekującą Walerkę, odświeżnie wystrojoną Górna i rozpaloną rumieńcami twarz żony, i czarne oczy rozblęły gniewem.

— Czego tu Górna chce? Poco? Macie jaką sprawę, to wiecie do mnie drogo, na kuchnię się do mnie nie chodzi.

— Dyć, proszę pan zarządcy, ja tylko do jejmościnki.

— Wyoście się, powiedziałem.

Górna koszyk zabrała i wysunęła się, kiwnąwszy jednak w progu na Walerkę, dziewczyna zwróciła się ku drzwiom, ale wstrzymała ją głos pana:

— W izbie masz siedzieć, rozumiesz!

Do jadalni przeszedł, pani Wanda wsunęła się za nim z niemilem uczuciem popełnionego przewinienia; chodził po pokoju, wreszcie zatrzymał się przed nią...

— Moja Wando, żadnych takich historii w przyszłości! Jestem i pragnę być człowiekiem i urzędnikiem uczciwym. W kuchni posad się nie obsadza.

Pani Wanda myślała o nieszczęsnym indyku, chciała o nim powiedzieć, nie śmiała, bała się tych kochanych czarnych oczu, które nagle na nią spojrzały tak obco i wrogo. Nareszcie jednak zdobyła się na odwagę.

— Nigdy już i od nikogo nic nie przyjmę, Tadku.

— Ślicznie! Szkoda tylko, że ci to musiałem aż... powiedzieć.

— Ale...

— No?

Nie, stanowczo, ona się do tego indyka nie przyzna chyba.

Spojrzał ku niej nagle podejrzliwie:

— Wzięłaś już co od niej może?

Pani Wanda rozczzerwieniła się, łzy jej zawisły u rzęs.

— Zostawiła tu kiedyś... — zająknęła się i jasną główkę ukryła w dłoniach — indyka...

Spojrzał ku niej drwiąco:

— Ach, tego zapewne, o którym powiedziałaś, że został kupiony na jarmarku. Coraz piękniej. Cóż jeszcze masz na sumieniu?

— Nic.

— I tak dosyć. Więc za tego indyka nie zapłaciłaś?

— Nie!

— Walerka! — huknął w stronę kuchni i rozpoczął swoją wędrówkę na nowo.

Walerka wsunęła głowę. Rzucił jej pieniądze.

— Górnej zaniesiesz za indyka.

— Dyć za tyle, tobyśmy na jarmarku dwa kupili — zauważyła.

— Czego jeszcze stoisz?

— Bo proszę pana, Bryś przyszedł.

— Zaraz.

Wziął kapelusze i wyszedł.

— Tadku...

Pobiegło za nim błagalnie.

Nie odwrócił głowy, nie spojrzał nawet, pierwszy raz odszedł od niej bez słowa pożegnania, bez pieszczoty...

Czuł do niej żal, ogromny żal, że potrafiła kłamać, ona, o której sądził...

— Kobieta jest zawsze kobietą — myślał z gorzkością — i małe kłamstwa uważa za swój życiowy przywilej, a wielkie za konieczność.

Rozdział IX.

Ku latu szło, gdy Sulimirski objął rewir, ale równocześnie zaczęły się dla niego ciężkie dni, ktoś kradł drzewo, niszczył kultury, czyjaś zbrodnicza ręka gospodarowała w borze. Mówił panu Renckiemu o tych szkodach.

— Pilnować lepiej trzeba, za Brysia tego nie bywało...

Poszedł do starego, Bryś fajkę na progu gajówki pykał, myślał chwilę, wreszcie rzucił:

— Górny ani chybi, zawidzi wam i wysadzić rad. Poczekajcie, pomogę wam i przyłapiemy, a zobaczy drab, jak mu będzie.

Dziś znowu stanął Sulimirski nad zniszczoną kulturą jodełek, wyrwano mu je wszystkie, do ostatniej. Głuchy gniew w nim wstał, gdyby tu miał tego szkodnika pod ręką, nie pożałowałby mu naboju.

Przechodząc przez wieś, zatrzymał się przed karczmą, zawahał i uderzony jakąś nagłą myślą, wszedł.

Niedzielne było popołudnie i karczma pełna była po brzegi. Przy długim stole kupili się gospodarze i baby leciwe, pogwarka szła, pito herbatę z arakiem i piwo. W izbie obok rzepoliły skrzypce, ciemno było od dymu, siedł ciężki zaduch potu, wódki, piwa, lichego tytoniu.

Gdy Sulimirski stanął w progu, z głęboko zarysowaną brózdą wśród silnie zmarszczonych brwi, spojrzano ku niemu ze zdziwieniem, nie bywał tu nigdy. Baby szturchały się łokciami, Jankiel usłużnie do progu wyleciał:

— Wódki? Piwa? Panu gajowemu, miód mam fajny...

— Nic.

— Jakże to nic? Dlaczego nic?

Sulimirski do stołu podszedł, rękę na niego wsparł:

— Przyszedłem do was, gospodarze, z prośbą... Należę do was, bo osiadłem, ożeniłem się i pracuję wśród was. Ktoś jest, co mi w lesie

szkody robi, kultury niszczy, drzewo kradnie, zwierzyne podchodzi. Wiem, że za Brysia tego nie bywało.

W otwartych drzwiach sąsiedniej izby dojrzał Sulimirski nagle rosłą postać Józka Górnego, na dźwięk jego głosu, który zagórował w nagłej ciszy, spokojny i chłodny Józek w drzwiach stanął, ręce i boki wparł, na zgrzanej tańcem twarzy, uśmiech miał złośliwy.

Sulimirski patrzył teraz w niego i zwarły się te dwa spojrzenia z zapaśniczą siłą.

— Cóż wam ta radzić, panie gajowy? — zabrał głos Marchwiak, ocierając z piany piwnej wierzchem ręki wiechy siwiejących wąsów. — Pilnujcie, to wama nie ukradną. Ot co!

— Ano, juści, pilnujcie...

— Przyłapcie harnasia, to go do sądu oddacie — zaśmiał się ktoś.

— Posłuchajcie dobrej rady. — Ktoś kieliszek wyciągnął. — Napijcie się lepiej z nami, co byście ta każdego pańskiego patyczka pilnowali, a z ludźmi się darli, przymknijcie jedno oko i już.

Sulimirski zbladł, patrzył dalej w wykrzywioną złośliwym uśmiechem twarz Józka.

— Właśnie przyszedłem wam powiedzieć, że będę pilnował we dnie i w nocy, ale złodzieja, co moją pracę niszczy, przyłapię i do sądu odstawię.

— Cie! Do sądu, a złapcież go pierwszy, panie gajowy! — Józek od progu rzucił — Wicie, nie tak to łatwo, jak się wama widzi. Harnasie też broń noszą, jak nocką do cudzego lasa idą. Pilnujcież nie tylko pańskiego lasu ale i siebie, co by się i wam co ludzkiego nie przydarzyło.

— To może nie z naszej wsi...

— Może od Orawy...

Usiłował ktoś łagodzić.

— Zobaczymy, ostrzegałem was po dobru, dajcie spokój mnie i rewirovi, ale od tej chwili pamiętajcie, sprawa pójdzie na ostre, kogo pierwszego złapie, ten mi odpowie.

— Złapcie wprzódzi...

Ironicznie padło od progu.

— Z Bogiem gospodarze.

— A no, z Panem Bogiem...

Sulmirski wyszedł. Jankiel za nim wyleciał.

— To będzie ten zbójnik, ten Józek... Wódkę mam przednią, może pan gajowy weźmie na spróbowanie? Tania, naprawdę tania.

Przyśpieszył kroku, by się od natarczywego nalegania żyda uwolnić, z karczmy leciał za nim rozpętany chór głosów ostrzegawczych, wstrzymujących, rozmaitych, a przez ten gwar przedarła się pieśń, huknęła z całej siły, z młodej, rozrosłej piersi górala i poleciała ku szczytom:

*„Bracia my se, bracia, zbójnickiego rodu,
Chwalas Panu Bogu znamy się od młodu! Hej!”*

*„Bracia my se, bracia, kochamy się scerze,
My się obronimy o jednej siekierze! Hej!”*

— Panie gajowy, poczekajcie, bo was dopędzić nie mogę. Oj, nima to, jak młode nogi i ja takie chybkę miałem w wasych rokach.

Sulmirski odwrócił się, biegł za nim staruszek siwiutki, z ośmdziesiąt років mający, krzepki jeszcze, jako te wiecznie zielone jałowce po zboczach, znał go z widzenia, był to najbogatszy

wieśniak we wsi, właściciel młyna, Antoni Czerwiec.

— Pójdziemy razem, wysedłek za wami, bo widzicie, nie trza wszystkich posadzać, jak jeden winowaty. U nas ludzie uczciwi, Boga się bojący, chojaki ta biorą, co leżą po wykroczykach, ale rosnącego nikt nie ruszy. Co pańskie wicie, to pańskie. To jeno wam ktosik na despekt czyni.

— A zwierzyna?

— No wicie; ze zwierzyna to ta inksza rzecz; są tu ludzie, co taką żyłkę do polowania mają, że żeby nie wiem co na zasiadkę iść musza. Mają to już we krwi... Był tu jeden gospodarz wicie zamozny, bogobojny, a jak przyszła zima, to go jednej nocy w chałupie nie było, tylko zwierzynie podchodził, przychytli go, wstydu się najadł do sytości, we więzieniu przesiedział. Myślicie, że go wyleczyło? Co we krwi, to we krwi, znowu skądsik strzelbinę wy dostał i hajda do lasa.

— I cóż z nim dalej?

— Wziął se raz wódki na zasiadkę, rozemgliło go, mróz był duży i posedł na Pana Jezusową rolę.

— Pomyślcie, w nocy wyrwał mi ktoś całą kulturę jodełek dwulatek, jak tu cierpliwości nie stracić.

— O harnaś! Drzewkom żywot niszczyć, pracę człowiekową marnować. Strasznie ta wojna ludzi popsowała, ani Boskiego, ani ludzkiego nie uszanują, gorzałkę jeno leją w te pały, jakby się ta do cna zatracić chcieli. Kara Boska! Osiemdziesiąt cztery roki mam już moiściewy poza sobą, a takiej ospusty, jak po tej wojnie nie widziałek. Kuźdego se lekko waża, nikogo nie uszanują, ani księ-

dza, ani pana, ani nijakiej władzy. Ja se pon i ksiądz i władza la siebie. Słyszeliście to ludzie takie herezyje... Bogu dziękować, że moje chłopaki nie takie.

Starcza twarz rozbłysnęła uśmiechem dumy.

— Byliście ta kiedy wedle młyna na dole?

— Byłem.

— No, to widzicie mojego chłopaka, tartak będzie budował jesienią, młodszy w szkołach, na księdza idzie, udały mi się dzieci. A zacząłem se na małym młyneczku, com se go sam temi rękami zmaistrzył, nawieźli ludzie zboża, mówię wam, bo pocóż im było milami zboże wozić, jak mieli młynarza pod bokiem. No i szło. A syn to już młynarz nie byle jaki. Przyjdźcie do nas kiedy na gawędę... Wawrzon gimnazyje skończył, widziałem głowa dobra, uczyć się chce, no to chodźże, kiedy chcesz. Ale jak skończył tak ja do niego: Wawrzon, ostań na roli, na ojcowiznie, jedź, z młynami się poznaj, opatrz se, jako to we świecie jest i wracaj. W mieście będziesz między panami ostatni, bo każdy ci będzie ród niski wypominał, a na wsi se będziesz między gospodarzami pierwszy. Ostał, widzicie, ojca posłuchał i ostał, uczony, rachunki se sam prowadzi, młyn rozszerzył, kamienie i pytle sprowadził, wodzie koryto pogłębił, no i mąka białuśka, że i w Krakowie nie ładniejsza. I szacunek ludzki ma, jeno z ożenkiem mu ciężko, do dziewczuch go naszych nie ciągnie, panien miejskich się boi a roki idą... Dziewczęta moje też siedzą. Rejna czterdziesty już rok zaczęła, Róża dwudziesty drugi, nie kwapią się z chałupy, górala z fają i cuchą nie chcą, a każ tu im takiego kształconego, jak Wawrzon naleźć?

Siedzą... Zawdy ta jakiś cierń musi być, w tem życiu człowiekowem. Syn książki ma, gazety, musi wam nudno być bez gazet, przyjdźcie, to pożyczcy. Hej, my z Brysiem, to byli zamlodu, jak bracia rodzeni. Ej, kochałek ja las, kochałek, nie było la mnie większej radości, jak po upłazach drzewo wozić, po tym śnigu bielusińkim, w ten mróz, co aż dech zapierał. Teraz to już ani takich zim niema, ani takich śnigów, ani ludzi, jako pierwej bywali... Odmieniło się cosik, odmieniło...

Zadumał się stary, dziecięce błękitne oczy, ze starczej twarzy patrzyły żalem za onym światem minionym, co mu jeno w wspomnieniu pozostał.

— A wyście się pono ożenili z Janielką od Wielgusów?

— Tak...

— Dobrze dziwce, pracowite, jeno kolczasta zawdy była, jako ten oset w zbożu, każdego ukłucia. A Wielgus talant miał i tak marnie ze świata poszedł. A jakoż się wam ta widzi u nas?

— A dobrze, pięknie jest, cicho, spokojnie.

— Jak u Pana Boga za piecem. Nima jak nasze góry, nasze lasy, nasze doliny... — Hej! panie, jak se człek wiosną wyjdzie siał, jak onego zboża zaczerpnie w garść, jak wiatr go owinie, zasumi... Hej! A ziem czeka, czeka macierz miłująca i pachnie, to człek mówię wam, taki Panu Bogu bliski wtedy, jak czasu Podniesienia w kościele i sercem pokorności pełnem dziękuje za on żywot strasznie ciężki, ale strasznie piękny...

Różne ta ludzie mają na świecie dole. Ale wierzyć mi, panie, jabyk się z królem nie mieniał.

Przystanął, bo już stanęli na mostku, co do dawnej chaty Wielgusowej wiódł.

— Wicie co, chodźcie ze mną, radzi wam będą zobaczyć, niedziela trudno w chałupie z babą tylko.

Sulimirski zawahał się, ale rzuciwszy okiem w głąb sadu zobaczył, że Anielka śpi pod jabłonią; krasila się tam w słońcu jej kiecka czerwona, więc poszedł.

Staruszek wygadany był, ale miał w sobie dziwną pogodę, radość z życia i Sulimirski od-czuwał żywą przyjemność słuchając, jak się o da-wnych czasach rozgwarzył, o dawnych ludziach, co to wszyscy już na Bożej roli snem wiecznym spali.

Chata Czerwcową wznosiła się na wzgórku obok młyna, wystawił ją Wawrzon Czerwiec, za-ledko kilka lat temu, był to raczej dworek z gan-kiem obszernym, z szeregiem uli drzemających wśród sadu, przed oknami jarzyły się malwy wy-sokie i kilka róż starannie pielęgnowanych prze-sycało powietrze wonią.

Stary do izby wszedł, Sulimirski za nim. I tu było inaczej, aniżeli w zwykłej chacie góralskiej: stała szafa z książkami, kanapa ceratą obita, stół okrągły serwetą pluszową przykryty, było to jak-by nagle wskrzeszone wspomnienie starszla-checkich dworów z epoki minionej. I człowiek, który się za wejściem gościa od stołu podniósł, wysoki, rosły, w pełni lat męskich, miał w spo-kojnej, energicznej twarzy szlachectwo ducha. Oczy jasne, pogodne jak u starego Czerwca ogar-nęły Sulimirskiego życzliwem, rozumnem spoj-rzeniem.

— Przyprowadziłem ci gościa, Wawrzon.

— Sulimirski jestem.

— Bardzo się cieszę, że ojciec pana do nas przyprowadził, proszę, niechże pan siada.

Przez otwarte okno wpływała woń rozwitych róż i poszum wody.

— A gdzież ojciec pana spotkał?

Stary się uśmiechnął, błękitne oczy zmrużył filuternie.

— Ano w karczmie.

Wawrzyniec się roześmiał.

— Wiem przecież, że ani ojciec, ani pan tam nie chodzi.

— A właśnie żeśmy oba byli. Prawda, panie? Szłem z niesporów a Ciupała ze mną, gadali my, jak to dwaj starzy o dawnym życiu. Ano idziemy wedle karczmy, a Ciupała: wstąpmy, kumie, a obaczmy, jak się młodzi bawia, przypomną się nam nasze młode roki.

— No i zobaczył ojciec...

— Ano, ani po ludzku, ani po Bożemu; nie tak jak dawniej, oj, nie tak... Hej, jak my se to daw-niej zbójeckiego tańcowali!... A dziś?... Kręcą się ta i kręcą jako te frygi, ale życia nima... Ano pon wszedł, by gromade ostrzec, że nie daruje kra-dzieży, ni szkód, co mu w lesie robia, no i wy-szedł za panem. Aleć prawda prawdą, w karcz-mie my się poznali. Józka Górnego to będzie sprawka, znam go, znam, do Róży się miał, har-naś jeden. Zła dusza.

W drzwiach stała Regina Czerwcowna, wy-soka jak brat, rosła, piękna jeszcze, pomimo że już ku jesieni życia szła; miała na sobie ta góralka dostojność dziwną, co bezwiednie szacunek naka-zuje, z poza niej zaśmiała się cudna twarzyczka Róży, wspaniałe złotawo-czarne oczy z ciekawo-

ścią, wpiły się w twarz gościa, rozchylone w uśmiechu usta, jako te wiśnie w sadzie wabiły.

Sulimirskiemu przypomniały się róże polne, co po zboczach gór kwiatem się kraszą.

Nakryły stół białą serwetą, rozstawiły filiżanki, podsunęły gościowi cienko nakrajany chleb i masło świeże.

Potoczyła się rozmowa o gospodarce, książkach, dziewczęta siedziały razem, objęły się ramionami i tworzyły bezmiernie piękny obraz wiosennego rozkwitu i dojrzałej kobiecości.

Tak szybko przeszło to popołudnie niedzielne, tak szybko słońce zachodnie rzuciło purpurową smugę w głąb domu.

— Pójdźmy młyn oglądać — zaproponował Wawrzon. — Stoi wprawdzie dzisiaj, bo niedziela, ale zawsze zobaczy pan nasz warsztat pracy, — z niczego to prawie na młyn wyrosło. W nas chłopach jest, panie, siła i zawziętość. Jak sobie co postanowimy, to ręce upracujemy, nie dośpiemy, nie dojemy, ale musi być, jak się zamierzyło. Ojcowe to dzieło, bo on zaczął.

Z czułością spojrzął na staruszkę, który się po kawie zdrzemnął, głowa mu nabok opadła, szczerka zwisała, i teraz dopiero widziało się, że był to już starzec u progu grobu stojący. Róża chustkę przyniosła i okryła śpiącego.

Wyszli... oprowadzał Wawrzon po swoim młynie, pokazywał go z radością człowieka kochającego swoją pracę, dumnego z niej.

— Będąc w szkołach, nawyknał pan do wielkiego miasta, nie tęskno panu czasem?

— Za czym? — Błękitne oczy Wawrzona rozbłysły. — Panie, mam swoje góry i ziemię, mam

swoją pracę. W mieście było mi ciasno i duszno, obco i nieswojo, jak orłowi musi być, gdy go do klatki zamkną. Nas wielu się uczy, wielu do szkół wyższych idzie, ale mało ma równie rozumnych, jak mój ojców, co by mu powiedzieli: „kany cię Pan Jezus stworzył, tam siedź”. Idą do biur i tęsknią, nie wiedząc nawet o tem, do naszych gór i marnują się w tej tęsknocie i piją.

A tu tyle byłoby pracy wśród swoich, gdybyśmy wracali na rolę, gospodarowali rozumnie, stosując najnowsze zdobycze nauki i doświadczenie ojców, sprowadzając na wspólny koszt i do wspólnego użytku maszyny. Gdy byłem w Czechach, panie, widziałem wzorową gospodarkę małych własności. Ale tam chłopci ze skończonym uniwersytetem na rolę wracali, a dziewczęta wiejskie chodziły na pensję, a potem narówni z innymi dźwigały brzemie z koniczem, tam kultura wrosła w naród i dała siłę. U nas idzie się na księży albo na urzędników, tworzy proletarijat miejski, a wsi się każdy taki półpan wstydzi. Hej, a inaczej wyglądałaby polska wieś i polska gospodarka, gdyby ci, co szkoły pokończyli, byli wśród nas pozostali. A tak...

Stanęli gdzie woda pieniać się spadała z kół. Wawrzon ręką wskazał.

— Widzi pan, zmarnowana energia. Jutro będzie pędzić cały młyn, a dziś nieujarzmiona przez wolę człowieka pienia się, huczy, ale nic nie tworzy. U nas jest właśnie nadmiar takiej energii zmarnowanej i marnującej, potrzeba nam ręki silnej, uczciwej, co by ujarzmiła i we właściwe zamknęła tory każdego. Wtedyby młyn państwowy szedł jak mój.

Zaśmiał się, pokauzując silne, białe zęby.

Wracali ku domowi.

— Zostanie pan u nas na wieczery? Nie szczególnego niema, ale pogawędzilibyśmy, zaśpiewali, żeby pan wiedział, jak tu ładnie głos niesie.

— Kiedy żona czeka...

— Prawda, pan żonaty. Więc niechże pan kiedyś z żoną przyjdzie, jak do swoich. W niedzielę, dobrze? Czasem przyjdzie ksiądz Andrzej, wikary, taka piękna ludzka dusza jak rzadko, poeta, duszę ludzką zna i dla niej pracuje, czasem kto ze wsi zagładnie; gdy pan wśród nas osiadł, to trzeba z nami żyć. Widzi pan, człowiek samotny, to zawsze jeno jednostka, a gromada to siła.

— Dobrze, przyjdę... Dziękuję panu. Dawno już nie było mi tak dobrze i miło, jak u was.

— Książek pan chce, gazet, niechże pan ze mną do domu idzie, podzielę się z panem moimi skarbnami. A niebyle jakie mam.

— Już pan idzie, myślałyśmy, że pan na wieczery zostanie — zdziwiła się Róża, gdy się z nią pożegnać przyszedł.

— Anielka byłaby sama i byłoby jej przykro.

Sulimirski książki zabrał i wyszedł, słońce chyliło się już za góry, tchnęły doliną mgły, kupiły się wzdłuż strumienia, krzepły smuga.

W powietrzu snuła się woń łąk skoszonych, lip w kwiecie stojących, i upajała.

Gdy Sulimirski koło dworu przechodził, mrok już był, z ciemnej fasady domu patrzyły dwa okna oświetlone, szeroko rozwarte, jak oczy jakiejś potwornej twarzy patrzące.

Przestrzenia płynęły tony, ktoś grał na fortepianie i śpiewał głos młody, cudny, altowy przenikając cichą wiosenną noc.

Sulimirski już tak dawno nie słyszał dobrej muzyki, dobrego śpiewu, a tak niegdyś to kochał gorąco, że bez wahania przesadził płot, w cieniu sadu się skulił, do wonnych, rośnych traw przywarł i słuchał...

Zapadła się terazniejszość, przeszłość, wszystko.

Tony kołysały, pieściły, tuliły.

Spokój zsyłały bezkresny i ciszę...

Sięgały dna serca i kołysy...

Zniknął czas i jego wymiary.

Ludzka dusza na skrzydłach melodii odnajdywała lot zapomniany, w krainę marzenia, w krainę snu...

Stary dom zamknął znużone oczy.

A człowiek, przytulony do rośnych traw, płakał...

ROZDZIAŁ X.

Józef Górny za stołem w karczmie się rozparł... Powszedni był dzień, sianokosy, karczma była pusta. Za ladą Ruchla w rozpiętym kaftaniku karmiła niemowlę, brzęczały muchy u pułapu, obsiadały szyby, stoły, kielbasę, coraz to któraś życiowej słodczy spragniona, topiła się w Józkowej wódce.

— Kiedy Jankiel wróci, nie mówił?

— Co ja wiem, poszedł za gęsiami do wsi.

— Dawno?

— Nu, ze dwie godziny już będzie.

Senna była, ona zawsze była senna, szły jej do głowy opary karczemne i wywoływały rozleniwienie i ospałość, oszalała ją woń wódki, piwa, kwaśnego wina. Żyła w tem otumanieniu, wegetowała raczej, zawsze rozpięta, rozczochrana, gnuśna, budziła się jedynie nadzieją jakiegoś interesu, dźwiękiem pieniędzy toczących się po ladzie, wtedy jej senne oczy rozbłyskały, a brudne palce zgarniały monety szybkim, zachłannym ruchem. W kuchni krzątała się katolicka sługa, pilnowała dzieci, gotowała. Ruchła za ladą kisła, co raz to nowe niemowlę do piersi cisnąć, niemowlę, które już od najmłodsze dzieciństwa wsłuchiwało się w karczemną gwarę, w brzęk szklanek, w dźwięk pieniędzy, i piło z matczynym mlekiem karczemne wyziewy.

— Nie będę czekał do nieskończoności, skórki sprzedać chciałem, mam dwie sarnie.

Spojrzała ku niemu z nagle rozbudzonym błyskiem chciwości w przygasłych źrenicach.

— Z pańskiego?

— Juści nie z mojego...

— Niech pan Górny przyniesie, wieczorkiem... Jojne może kupi, on ta niechętnie takie interesy robi, ale dla pana Górnego, po znajomości...

— Cie! Znajomość z żydem parchatym.

Chłopak rzucił na ladę pieniądze za wódkę i z izby wyszedł. Trochę mu okółkiem chodził świat... Ogarnął go skwar lipcowy i spirytus do głowy jechał, kręciło się przed oczami, rozbiegały się żytnie łany, jak żywe, do lasu szedł, wypływała mu wódka z głowy lepsze myśli do cna, zostały jeno same mściwe, gniewne, ponure, czerwone jak krew, złe jak piekło.

A bór szumiał nad nim cicho, dobrotliwie, ukojnie, on tego szumu nie słyszał, nie rozumiał też Bożej gędźby, szedł po trawach, deptał misterne leśne mchy i nie widział ich piękna. Wszystko wkrąg mówiło o Bogu i Jego potędze, ale on niósł w sobie jeno huragan nienawiści, krwawą pożogę zmysłów rozszalałych, ślepy był i głuchy na wszystko poza zaczarowaniem kołem własnego ja. Doszedł do olbrzymiego dębu, co na leśnej polanie przeżył ku niebu potężną koronę. W dziupli broń chował Józek, i teraz ręką w głąb dziupli sięgnął i nagle oczy odbiły niepokój obłądny, ręka szukała gorączkowo, szukała napróżno.

Sypał się z dziupli pył próchnicy, rękę po łokieć wsunął, broni nie było.

Nie było....

Ktoś zabrał strzelbę, może Sulimirski ją znalazł, może ktoś ze wsi podpatrzył kryjówkę i do dworu doniósł, albo ją sobie przywłaszczył, dość, że jej nie było.

Skończyło się.

Teraz mu już nie chodzić o świtanie w bór, rozkosz oczekiwania, niepokój myśliwca tropiącego zwierzyne, radość zwycięzcy, wszystko to zginęło wraz ze strzelbą.

Przez tyle lat wkładał ją tu, w dziuplę dębu, tak spokojnie, jakgdyby ją wieszał w szafie, i oto niema jej, niema!

Dławiła go wściekłość i lzy. Nienawiść rozpasowała się w nim do szału.

O gdyby mieć tu tego, co wziął!...

Zacisnęły się w pięści potężne ręce z taką siłą, aż z pod paznokci, wbijających się w dłonie, krew trysnęła.

Siedział skulony, żując pomysły zemsty, godziny tak przeszły, czy chwile...

Nagle uskoczył w bok, bo wprawne ucho posłyszało szmer, trzask gałęzi pękającej pod czyjąś stopą...

Do mchów przylgnął, jeno oczy mściwe, złe, zrozpaczone ogarniały las, czekały...

Nagle dojrzał Sulimirskiego, gajowy miał swoją broń przerzuconą przez ramię, a w ręce niósł jego strzelbę.

Szedł w pełni słońca, gwizdząc zcicha, cieszył go żar lipcowy, zapach macierzanek rozkwitłych po graniach, życie. A zaczajony w mchach Józek widział tylko swoją ukochaną strzelbę w smagłej, szczupłej ręce tamtego.

Porwał się nagle, jak dziki kot do skoku, sprężył i runął....

Dwie potężne dłonie schwyły Sulimirskiego za gardło. Oblakane nienawiścią, krwią nabiegłe oczy zaświeciły nagle przed nim, jak ślepie wilka w noc ciemną.

— Puść!

Atak był tak niespodziewany, tak gwałtowny, że obaj zachwiali się, obalili na miękkie wrzosiwiska łąki podłej, i zawrzała walka.

Śmierć... przesunęło się w myśli Sulimirskiego. Przywalił go przeciwnik całym ciężarem, przgniótł swoim młodem, rostem ciałem, czuł jego gorący, cuchnący wódką oddech na swojej twarzy, dławił go chwyt potężnych rąk, dolatywał charkot słów nienawistnych. Całym wysiłkiem ramion i kolan usiłował odeprzeć napastnika, usiłował wydostać się z pod niego, ale czuł, że słabnie, że tamte ręce nieubłagane wpijają mu się coraz sil-

niej w gardło, brakuje mu tchu, rozpływa się zakrzepła w nienawiści twarz Józka w jakiejś tęczowej mgłę, a bór cały nagle śpiewa... śpiewa, a jemu ręce opadają bezwolnie... przestają się bronić, przestają walczyć...

— Chryste...

Nie będzie mieć moje dziecię ojca...

Przesuwa się myśl nagła w zalewającej mózg mgłę osłabienia: bronić się, bronić...

Ręka szuka strzelby, co się z niej wysunęła przed upadkiem, szuka poomacku, znajduje, palce zaciskają się kurczowo...

Strzał... Grań go powtórzyła grani, drzewo...

Józkowe ręce powoliły bezwiednie, spojrzał po za siebie, lęk przebiegł go dreszczem... Spojrzał w siną, czarną prawie od naporu krwi twarz gajowego, na oczy szeroko rozwarte i w mózgu przez opar wódki i krwi przesunęła się myśl:

— Dyć-em zabił!

— Zabił!... Jezu!...

Zrozumiał, wytrzeźwiał nagle, porwał się, swoją strzelbę z bezwładnej ręki Sulimirskiego wydarł i rzucił się w las. Gnał bez drogi, przewracał się, wstawał, gnał znowu, byle dalej, byle dalej...

* * *

Po długim omdleniu Sulimirski oprzytomniał, noc już nad światem była, ocuciła go rosa chłodna, wonna. Wpół przytomnem oczyma patrzył w gwieździsty nieba bezmiar nad sobą, drgający milionami światła. Wicher grał w gałęziach drzew pachniały jodły, skapane w rosie macierzanki... Zdawało mu się, że wraca skądś z bardzo daleka, wraca niemal z żalem.

Po chwili dopiero odczuł dojmujący przykry ból żył nabrzmiątych, opuchnięte gardło paliło... wracało życie i ból fizyczny.

Przypomniawszy sobie wszystko, podniósł się z trudem, strzelbę z ramienia zdjął i opierając się na niej, ku domowi szedł. Nigdy droga nie wydała mu się tak długa, tak ciężką bezmiernie, brakowało mu tchu, krew w skroniach waliła, jak gdyby je rozsadzić chciała.

Spoczywał co chwila i włókł się dalej.

Z jaką radością dojrzał strumień i światło snujące się z okien swojej chatyny, drżące, żółte, niepewne światło lampki naftowej.

Zobaczył postać przykucniętą na przyźbie, czekała Anielka.

— Tylochna czasu siedziałeś, stało się co? — pytała niespokojnie.

— Nic...

Osunął się na ławkę obok niej, ogarnęło go wrażenie bezpieczeństwa i spokoju... minęło...

— Chodź do izby, przygrzałam klusek od obiadu, mleko jest ciepłe.

— Nie jestem głodny.

— Choryś? — zaniepokoiła się nagle, usiłując w ciemności dojrzeć twarz jego.

— Zmęczony jestem, ogromnie zmęczony...

— Zaraz ci łóżko rozbię, gorącyś taki... Dalekoś był?

— Daleko... o daleko... aż na tamtej stronie.

— Gdzie?

— Na tamtej stronie...

— A cóż cię aż na Orawę nosiło? Jezusie, taki szmat drogi. I naprawdę nie jesteś głodny?

— Nie mogę...

Pobiegła do izby, a w nim każdy nerw drżał.

Położył się, ale zasnąć nie mógł, wciąż od nowa wracała w pamięci walka, dławienie owych potężnych rąk i twarz w nienawiści zakrzepła i owa słodka, czarowna niemoc, z której obudził się z żalem, że się wogóle obudził.

* * *

Przez drobne szybki wkraśl się szary świt, a rychło potem rozjarzył okno snop złotych promieni.

Gardło było opuchnięte, bolesne; ból dokuczał we wszystkich członkach, rozpełzał się po całym organizmie.

W kuchni krzątała się już Anielka, myślał o niej z czułością wielką, te kilka miesięcy wspólnego pożycia przyniosły mu wielką wewnętrzną ciszę. Miłował swój las, wczuwał się w jego życie, badał jego tajniki i miłować zaczynał swój dom, tę chatynę cichą i tę kobietę łagodną, pracowitą, zawsze zadowoloną. Nie narzucała mu swojej obecności, ale czuł wszędzie jej tkliwą troskliwość, jej pracowitą energię. Zdawało się Sulimirskiemu, że teraz wypiękniała nawet, może dlatego, że za kilka miesięcy spodziewała się zostać matką i była w niej radość słoneczna, oczekiwanie. Do Czerwców chodziła często, nauczyła ją Regina lepiej gotować, podpatrzyła, jak się do stołu podaje, i usiłowała w swojej chacie zastosować wiadomości zdobyte i udawało się jej to. Za kurczęta sprzedane kupiła serwety białe, za len filiżanki i cienkie talerze i cieszyła się jak dziecko, że mu teraz wszystko smaczniejszem się zdało.

— Anielko....

W uchylonych drzwiach uśmiechnęła się jej twarzyczka pogodna.

— Nie śpisz już?

— Nie.

— Aleś zachrypnięty, gardło cię boli?

— Boli.

— Ostań dziś w łóżku, wypocznij, ja przecie tak chętnie do lasu idę za ciebie.

Uśmiechnął się i przygarnął ją miękko.

— Ale wiesz, list do ciebie wczora przyszedł, miałam ci dać i zapomniałam docna, boś taki jakiś dziwny był wczorą, że mi wszystko z pamięci uleciało.

— Ktoś sobie o mnie na świecie przypomniał...

Uśmiechnął się biorąc z jej rąk wąską, białą kopertę i nagle serce rozszalało mu się w piersi, znał przecież, o jak dobrze znał te długie, wąskie, ukośnie rzucane litery.

— Matko! matko!

Szaleńcza radość ogarnęła go, dławilo w gardle łzami.

Matka... O Boże!

Zdawało mu się, że lgnie znowu do tych rąk smukłych, cudownie pięknych, kochanych, że czuje ich pieszczący dotyk na swoich włosach, jak niegdyś...

Rozerwał kopertę i zapomniał o całym świecie, chłonąc mowę tych liter miłowanych.

„Najdroższy mój! Więc żyjesz. Gdy dostałam list kuzynki, w którym pisała, że zgłosiłeś się do niej listownie z prośbą o mój adres, zdawało mi się że oszaleję z radości, tyle razy opłakałam cię, kochany, tyle razy ogłaszałam w gazetach, wszyst-

ko napróżno. Aż wreszcie! synku mój! odzyska-ny!! Równocześnie będę robić starania o paszport, przyjadę.... Czy ty wiesz, co to znaczy odzyskać syna!? Czy wiesz o tem, że jego już niema między nami, poległ daleko od nas i nigdy już... kochany mój. Ty mi przynajmniej zostałeś i nic nas już chyba rozłączyć nie zdoła... Tak pragnę cię przytulić i ty musiałeś ciężkie chwile zostawić za sobą... Jednego zrozumieć nie mogę, dlaczego nie powróciłeś do miasta? Dlaczego twój adres to jakaś zapadła wieś podkarpacka... Ja żyję w względnym dobrobycie, naturalnie nie jest to już to, co było za życia twego ojca, ale zawsze. Ty i tego nie wiesz, że dziadek umarł. Ach, jak się wszystko od tego czasu zmieniło, tylu ludzi znajomych i bliskich jest już na tamtym brzegu, a wokół nas też takie wszystko inne się stało. Stara już być muszę, bo mi się do tego wszystkiego przyzwyczaić trudno. Kamienica po dziadku przeszła na moją własność, bo brat ojca też poległ, słowem... gdzie człowiek w tę przeszłość spojrzy, to się z niej ku niemu krzyż wychyli. I pomyśleć, że gdy ty będziesz miał ten list w ręku, ja może będę już w drodze do ciebie, że cię znowu zobaczę, uścisknę, przytulę....

„A Lo, pamiętasz małą, słodką Lo? Pisuje do mnie często. Uważałyśmy cię obie za zaginionego... i gwarzyłyśmy o tobie, jak o kimś drogim, co już nie powróci... Wiesz, napisałam do Lo, że żyjesz... Ucieszy się... O! jak się ucieszy...”

List wypadł.

Sulimirski spojrzał wkrąg nieprzytomnemi oczyma, wewnątrz góralskiej chaty przypomniało mu rzeczywistość.

Za późno... wszystko za późno....

I dziwne, wszystko co do wczoraj szczęściem mu się zdawało i radością, przygasło jakoś nagle.

Anielka nakrywała do stołu, niespokojne jej spojrzenie śledziło wyraz twarzy męża, gdy czytał i zadrżała bezwiednym lękiem, czuła że skądś szło niebezpieczeństwo, że czaiło się gdzieś blisko, pytać jednak nie śmiała.

Dźwignął się z łóżka wysiłkiem woli, o nie, dziś nie wytrzymałby w izbie, powietrza mu potrzeba, lasu, gór, pracy... by odzyskać zachwianą równowagę, pracy, by się uspokoić.

Wyszła, bo wiedziała, że nie lubił ubierać się przy niej, a jemu z rak wszystko leciało, chory był, znużony, wreszcie się ubrał.

— Anielko...

Wsunęła się do izby z kawą na tacy.

— Ale ci też szyje ozdeło, — dziwiła się.

— To nic, przejdzie.

Kawę przełykał z trudem.

— Wiesz, Anielko, od kogo był ten list... Pomyśl, od mojej matki.

Spojrzała mu w twarz przerażonemi oczyma, a usta jej powtórzyły bezdźwięcznie:

— Od twojej matki...

— Tak... Matka dowiedziała się, że tu jestem i zapewne przyjedzie tu do nas.

Milczała.

— Zabiorą mi cię, zabiorą... — lkało w jej duszy. A jemu stało się przykro, że tak zupełnie nie dzieli jego radości i odbiła się ta żywo odczuła przykrość w chłodnym akcencie głosu:

— Gdyby przyjechała wtedy, gdy jestem na służbie, to... widzisz, Anielko, — dokończył ser-

deczniej — wy dwie jesteście mi najbliższe... pamiętaj o tem.

Pochyliła mu się nagle do ręki, odczuł pocałunek jej młodych ust i ciepło łez, co się na nią stoczyły.

— Co ci jest?

— A jak...

— Co?

— Jak mi cię zabiorą?

Zaśmiał się.

— To ja zabrałbym naturalnie ciebie.

— O nie! ja bym stąd nie odeszła.

— Nawet ze mną?

— Nawet z tobą.

Spojrzał ku niej zdziwiony.

— Dlaczego?

— Bo tam byłabym ci jeno zawadą. Chłopka jestem, jakożby mi było bez roli, bez gadziny, bez gospodarki... a i tobie śmiesznabym się zdała.

— Nie płaczże, głuptasku, nikt ci mnie nie zabiera, ani mnie do zabierania nie tęskno. Z przyjazdu matki się cieszę, bo ją kocham, zawsze kochałem, no, bo to jest moja droga, moja śliczna matka. I ty nią kiedyś będziesz naszemu dziecięciu, urodzisz go, wychowasz, pomyśl, jakby ci przykro było, gdyby ci się miłością nie odpłaciło, gdybyś mu była obojętna i obca.

Pocałował ją i wyszedł. Ranek był cudny, lśniła na trawach rosy obfitość.

— A jednak Anielka ma słuszość — myślał — tu ma w sobie czar młodości, zdrowia, dobroci, tam na tle salonu byłaby śmieszna, jakby ktoziemiak z jego liljowym, niepokąnym kwiatem do wazonika wsadził, bibułkami otulił, a ten sam

ziemniak na roli ma w sobie nie tylko użyteczność wielką, ale i piękno. O, jak się na kwitnącym zagonie, który mija właśnie, bujnie zieleni listowie, jak pięknie wyglądają rosą perliste kwiatuszki liljowe i białe, jak gdyby zagon obsiadły motyle.

Przystanął, chwilę się namyślał, zawrócił i zamiast do lasu, ku wsi poszedł.

Wczoraj miał zamiar iść do lekarza, na Józka Górnego doniesienie zrobić, dzisiaj wydało mu się to takie obojętne, takie dalekie, nie ma w duszy ani gniewu, ani nienawiści, jeno cichą wielką dobroć, co przebacza.

Do drzwi Górnych zastukał.

Otworzyła mu sama gospodyni i zachnęła się wtył na jego widok, jak gdyby wid dojrzała z tamtego świata.

— Jezus Marja! Jezus Marja!

— Wasz syn jest?

— Józik...

— Zawołajcież go.

Gospodyni wpadła do alkierza, widział, jak się trzęsła cała, jak jej wargi drżały, oczy opławały łzami, wiedziała śnać o wszystkim.

Po chwili drzwi się otworzyły. Józef stanął w nich, spojrzeniem niepewnym ogarnął stojącego na środku izby gajowego.

Więc żył... żył!

Radość ogarnęła mu duszę, więc przecież nie zabił. Bóg ustrzegł, a może te modły matczyne.

I on miał za sobą straszną noc niespaną. Żeby nie matka, żeby nie jej łzy i prośby, byłby się obwiesił. Dusila go hańba, wyrzuty sumienia. Lękał się jutra, żandarmów, dochodzeń i długich lat

więzienia, pogardy wsi, bólu ojca, wszystkiego... Ale matka, stara matka do nóg mu padła, opłatała je kurczowym chwytem i krzyczała:

— Józik, duszy nie zatracaj do reszty!... Józik, duszy nie marnuj. Djabł cię skusił i ta wódka przekłeta i ta twoja natura nieposkromiona, nie daj się skusić drugi raz. Żle się stało, strasznie źle, ale wielkie jest miłosierdzie Pana Jazusowe, może odpokutujesz, żyj jeno!...

I nie miał sił rozplatać tych rąk matczynych... W izbie obok spał ojciec i brat starszy, a on z matką w bokówce oka nie zmrużyli. Pilnowała go, nie chciała na chwilę samego ostawić. Każdy szelest, a zdawało się im, że to już po niego idą i rozpoczynała się między niemi dwójgiem nowa rozpaczliwa walka o życie. Matce jeno powiedział, jej jednej, a oto teraz nagle zmora owej nocy strasznej pierzchnęła, nie był mordercą.

Zdawało mu się, że pierś szerzej oddycha... Boże, dzięki ci, nie był mordercą.

Sulimirski patrzył mu w twarz w milczeniu, widział na niej nagły błysk rozradowania wielkiego i wstyd, żal, niepewność, ból.

— Słuchajcie, Górny, strzelbę mi oddacie i dajcie słowo, uczciwe słowo górala, że... nigdy więcej...

Chłopak spojrzał ku niemu z nietajonem zdziwieniem i z niedowierzaniem:

— Jak to mam rozumieć, panie...

— Wszystko co się stało, zostanie między nami.

— Nie wydacie mnie sądom? Dyćem wam o mało życia nie wziął.

— Cóżby mi z tego przyszło, gdyby was zamknęli i skazali? Za złe zawsze należy dobrem płacić.

— Pomstebyście wzięli — mruknął głucho. — Winowaty jestem ciężko, winny wobec was.

Po młodej twarzy przesunął się ponury smutek, gdy kończył.

— Zaślepiła mnie wódka i nienawiść i...

Zachłysnął się, odwrócił nagle, strzelbę ze ściany zdjął i Sulimirskiemu ją oddał.

— Oto moja strzelba, panie Sulimirski, i moje uczciwe słowo, wierzcie mi, dotrzymam. — I czarne oczy nagle zabłysnęły łzami, zapłonęły ogniem:

— W piekłobym teraz poszedł za wami, panie!

Rozdział XI.

Minęło kilka dni, niedziela przyszła; o szarym zmierzchu siedzieli jak zwykle przed chatą. Sulimirski czytał głośno, Anielka słuchała, duży legawiec, dar pana Renckiego, leżał im u nóg. Nagle ciszę rozciął ostry dźwięk tuby samochodowej, po wiejskiej drodze pędziło auto, ciągnąc za sobą smugi dymu i pyłu.

Stańło.

Sulimirski się porwał, Anielka instynktownie cofnęła się w głąb chaty. Z samochodu wysiadła wytworna postać kobieca, a poza nią zamajaczyła główka złota w głęboko na czoło nasuniętym kapeluszu skórzanym i oczy głębokie, błękitne, jak owo niebo mierzchnące.

Sulimirski do smukłych rąk przypadł, pocałunkami je okrył, a potem spojrzenie jego zawisło na tej drugiej postaci, zbladł, usta mu drgnęły.

— Pani... panno Karolino...

— Dawna Lo, zapomniał pan...

Ciepła, wypieszczona wonna jak płatek kwiatu rączka opadła na jego dłoń, a usta powtarzają cicho z naciskiem:

— Dawna Lo...

— Lo wybrała się wraz ze mną, udzieliła swego auta. Postanowiliśmy napaść cię zniecka i uprowadzić z sobą.

Pani Sulirska mówi i patrzy na starą chatynę, co przykucnęła u brzegu strumienia, na sad, ścielący się poza nią, na opaloną a śmiertelnie teraz bladą twarz syna i różową radosną Lo.

Drobna rączka wysuwa się z dłoni Sulimirskiego nieprzytrzymana.

— Pozwólcie dalej... proszę... Anielko!

Chwycił ją za rękę w ciemnej sieni, a głos mu drży.....

— Moja żona... mamó...

— Twoja żona?!...

Jest w tym wykrzykniku zdziwienie, smutek, ból szybko opanowany a głęboki.

Anielka chyli się jej do rąk, a oczy jej patrzą niespokojnie na tamtą cudną, wiewną, złotowłosą, na tamtą, obcą...

Synowa...

Pani Sulirska waha się przez мгновение i całuje ją w czoło.

Co za nieszczęśliwy pomysł miała, by zabrać z sobą Karolinę, biedna dziewczyna... Czyż mogła jednak przypuszczać coś podobnego?

Lampa naftowa słabo oświetla wnętrze izby i oczy dwóch przybyłych kobiet spotykają się w długim, smutnem spojrzeniu, tak tu ubogo, tak tu obco...

Przez otwarte okno wpływa rzeźki wiew wieczoru, woń lasów szpilkowych, macierzanek i strumienia.

Taka sielanka mogłaby mieć urok na tydzień, na dwa, ale na życie całe?

— Może napijecie się panie kawy?... Anielko, bądź tak dobra...

Młoda kobieta odeszła.

Pani Sulimirska odprowadziła oczyma niknącą w drzwiach postać synowej.

— Dawno pobraliście się?

— W marcu....

I znowu cisza, ta cisza, co boli przytłaczająca próżnią. Czyż naprawdę tak wiele się zmieniło, że nic sobie do powiedzenia nie mają... nic?...

— Słuchaj, Janku, u was przenocować nie można z tej prostej przyczyny, że niema gdzie, pojedziemy więc do miasteczka, jedź z nami. Dobrze? Nie widziałam cię tak dawno, śpieszyłam do ciebie z taką tęsknotą, należy mi się, bym chociaż na kilka godzin miała cię niepodzielnie. Chciałabym porozmawiać z tobą swobodnie. Chciałabym odnaleźć duszę twoją, bo dotąd odnalazłam tylko osobę mojego Janka... a wszystko co się z tobą działo, co się w tobie zmieniło, to dla mnie jeszcze księga zamknięta. Dobrze synusiu?

O! jak pachną te smukłe, białe ręce, co nagle głowę mu oplotły z pieszczotą, jakby dwa kwiaty pachną.

— Dobrze mamoo...

— A jutro...

— Zostaniesz trochę z nami, mamoo...

Wstrząsnęła głową i przytuliła jego rękę.

— To ty pójdziesz ze mną. Przecież nie myślisz, że dam ci marnieć w takim otoczeniu.

— A jeżeli mi tu dobrze, mamoo...

— Dobrze? W takim środowisku! Zresztą pomówimy o tem jutro, jutro...

Urwała, bo Anielka przyniosła kawę.

Czując na sobie krytyczne spojrzenie obcych kobiet, stawiała się niezręczną, zadrżała jej taca w spracowanych rękach, rozchłapywała się na spodeczki zbyt pełno nalana kawa. Błagalne jej spojrzenie spotkało chmurne oczy męża, nie był z niej zadowolony, czuła to i smutek wielki ścisnął jej serce.

A Lo ochłonęła już z pierwszego wrażenia, na młode usta wypłynął drwiący uśmiezek: oto, jak wygląda ideał wcielony w życie.

Czyż ot ten sam świetny, młody, urodny porucznik ułanów, co duszę jej wziął w pocałunku?

Tak, oczy zostały te same, błękitne, głębokie, miłowane oczy. Twarz pobladła, zaostrzyły się rysy, znać znużenie w pochyleniu ramion, coś obcego w nim jest, dalekiego, ten sam, a jednak tak zupełnie do tego dawnego niepodobny. Jakiś inny.

A ta młoda wieśniaczka brzydka i niezgrabna, to jego żona.

A to jego dom... Jego dom, świątki po ścianach, na jarmarkach może kiedyś kupione, pelargonie w oknie, a u poczerniałego belkowania sufitu, kwiaty z opłatków lepione.

I on tu żyje! On tu żyć może?

Więc to chyba nie on, nie ten jej śniony, kochany, nie ten któremu wierna była, którego opłakiwała.

Tak, tamten zginął, zginął, wojna go zabiła, a ten, tutaj, to człowiek obcy, człowiek z innego świata obojętny, daleki.

— Może pani pozwoli chleba...

Smagła ręka podaje jej talerz i przez mgnienie spotykają się ich oczy i rozbiegają w trwodze...

A jednak mimo wszystko, to on...

I to... ona...

Jasna głowa Ło pochyla się nad filiżanką nisko, bardzo nisko, bo łzami nabiegły źrenice, bo walczy z nimi całym wysiłkiem woli, by nie spłynęły.

Pani Sulimirska opowiada o Wiedniu, o zmianach, jakich dokonała w nim wojna, o życiu własnym, o samotności, którą odczuwała tak boleśnie.

Wreszcie spogląda na zegarek:

— Więc może pojedziemy.

— Jadę, Anielko, z matką do miasteczka, jutro wrócę. — W mroku sieni przygarnia ją na chwilę i szepce:

— Nie lękaj się, wrócę...

Ostry dźwięk tuby samochodowej, warkotanie motoru, jasny błysk reflektorów i smuga pyłu...

Anielka wróciła do chaty, taka pusta się jej zdała, jakgdyby stąd kogoś drogiego wyniesiono przed chwilą, jakgdyby śmierć przeszła jej wnętrzem.

Usiadła na zydelku i zapłakała...

Pies na kolana się jej wspiął, wilgotny nos do rąk przytulił, poruszał przyjaźnie ogonem, rozweselić pragnął.

Przewyciężyła się.

Cóż dadzą łzy? Wróci, czy nie wróci, bydłu trzeba dać jeść i życie dalej pchać aż do kresu.

I nagle przypomniała sobie, że przecież za kilka miesięcy zostanie matką, że małe rączki ogarną jej szyję, że ma przecież dla kogo pracować i żyć.

Otarła łzy fartuchem, pogłaskała psa i poszła do zwykłych zajęć gospodarskich.

— Rano trzeba będzie do świtania wstać. — myślała, — i do lasu iść, bo gdyby Janek nie wrócił na czas, to trzeba pokosów dopilnować. Hań, na liljowem, na pańskim kosili wczora.

A może wróci...

Szepce jej jakaś nadzieja nieśmiała, nadzieja na skonaniu.

* * *

A tymczasem auto pędzi, jasny blask reflektorów pada na drogę, w baśń zmienia świat. Złotrudę stają się wierzby przydrożne, pokraczne, smutne topole nagle ociekają złotem, a biała wstęga drogi ucieka w dal. Ciepły pęd powietrza pieści, chłosta...

Sulimirski usiłuje nie myśleć o niczym, żyć chwilą, czerpać tylko jej piękno, ale z przeszłości nasuwa się wspomnienie... gdy ostatni raz jechał autem...

Na froncie to było, na froncie południowym, w przeddzień dostania się do niewoli. Jechali z pułkownikiem oglądać pobojuwisko. Przypomina mu się ta droga odbyta po raz ostatni, ożywia w pamięci każdy jej szczegół z fotograficzną dokładnością.

Widzi Alpy, płonące w zorzy wschodzącego słońca, śnieżne, dumne, obojętne na walki tego pokolenia karłów, tam w dole, niewzruszone w swoim spokoju, cudne jak zjawy, a niżej kwitną ogrody, zieleni się trawy kobierzec soczysty.

Droga wiję się brzegiem Isonzo, kredowo białe skały kapią się w wodzie o dziwnej, głębokiej, metaliczno-błękitnej barwie. Taki cudowny świat, taki poranek rozświecony. Wiosna!

A na drodze coraz częściej broń porzucona, przewrócone połamane wozy trenu, ścierva koni i trupy ludzi, obojętne, martwe, oczekujące pogrzebu, patrzące oczyma, które już nic nie widzą w niebios błękit nieruchomy.

Po upojonej woni drzew kwitnących, rzeźkiem technieniu poranka skapanego w rosie, słodkawym, wstrętnym, mdłym zapach krwi i ciał pochwyconych rozkładem.

Wysiadają z pułkownikiem i idą w państwo śmierci, zobaczyć raz jeszcze towarzyszy, którzy zginęli, idą z obnażonymi głowami skupieni i cisi.

Ziemia poszarpana, zryta kulami, drzewa powalone i trupy, trupy, trupy...

Są i żywi, tam daleko pracują, kopią doły, gaszą wapno, broń składają na stosy, lepsze uniformy...

A dokoła straszne larwy twarzy, wszystkie rozdęte rozkładem, zielono-sine, niezapomniane, wstrętne.

Oto koniec twój człowieku...

I ta myśl: dziś oni, jutro może ty sam...

A w głębi duszy podświadome przekonanie, że żyło się dotąd tak wesoło, beztroskliwie, bezmyślnie, tak po zwierzęcemu.

A przecież od człowieka tylko zależy by zdobyć prawo wiecznego żywota, lub rozplynać się w zgniliźnie wraz z ciałem.

Nagle, zdawało się Sulimirskiemu, że jeden z tych trupów się poruszył... Czyżby żył? Nie-możliwe... Złudzenie, bo i tamten na prawo wykonał jakiś ruch ręką. Pochylił się szybko i równie szybko odskoczył...

Pole umarłych żyło, ich kroki, kroki ludzi żywych spłoszyły całe kolumny szczurów, co przywędrowały Bóg wie skąd i na trupach urządziły sobie żerowisko. Gdy Sulimirski pochylił się nad poległym, gromada szczurów rozpieczęła się na wszystkie strony, uciekały z rękawów uniformu, wypadły z rozerwanej granatem jamy brzusznej.

— Chryste!

I zostają człowiekowi w pamięci takie Danteskie obrazy i wracają nagle tak żywo, jakgdyby się na nie znowu patrzyło.

Sulimirski otrząsł się z wstrętem, zdawało mu się, że czuje tę woń zgnilizny i widzi szczury rozpryskujące mu się z pod nóg.

A auto mknie... A wokół cichy, cudny wieczór lipcowy...

Konicze pachną...

Pani Sulimirska zatulona w ciepłą wełnę białego szala, patrzy w rysującą się w mroku twarz syna i myśli o jutrze.

Trzeba go stąd wyrwać, wyrwać koniecznie... wrócić światu i życiu. Przecież nie można zawiązywać sobie życia dla takiej prostej, góralskiej kobiety i marnować je tak daleko od wszelkiej kultury...

Jej Janek, jej wytworny, śliczny Janek, ten gajowy w źle skrojonej, grubej kurtce... jej Janek.

Teraz przecież tyle małżeństw się rozchodzi, zabierze go z sobą, namówi. A Anielka? Ach, Boże! Takie łyżo ociera się garścią pieniędzy. I pani Sulimirska nie myśli nawet, że ta prosta dziewczyna ma serce takie samo, jak w jej piersi bije, że miłuje jej syna równie gorąco, jak ona męża swego kochała, i że również nie zdołałaby zapomnieć. A dziecko... naturalnie weźmie się je i wychowa, będzie to może znowu taki słodki, maluchny Janeczek, powrotna fala młodości i szczęścia dla niej.

A tamta...

Gdybyśmy zawsze chcieli myśleć o innych...

I pani Sulimirska urządza życie w przyszłości tak miło, tak pogodnie, tak beztroskliwe.

A Lo?...

Myśli jej również odbiegły daleko do wizji szczęścia, które minęło i... może powróci.

Dlaczego jednak on nie ma dla niej ani jednego spojrzenia, zasunął się w swój kąt i ani razu ku niej nie odwrócił głowy... A ona czekała na

to spotkanie tyle lat, zwątpiła o niem i przysłała pierwszą wieść, że żyje...

I poco?...

By patrzeć w chłodny marmur tej twarzy, niegdyś... o nie! dziś jeszcze kochanej, a takiej dziwnie obcej i dalekiej... O, gdybyż te oczy spojrzały ku niej raz jeszcze, raz jedyny, jak dawniej, gdybyż raz jeszcze usłyszeć: kochałem cię, kocham cię, Lo...

A te oczy błądzą po drodze od reflektorów jasnej, wpatrują się w wierzby przydrożne złotrudę, jakgdyby je widziały pierwszy raz, a unikają spojrzenia w jej twarz. A wokół noc lipcowa, pełna czaru, do miłości, do szczęścia stworzona noc jak baśń...

Tak blisko są i tak daleko...

Ból szaleje w duszy Lo...

O czym on teraz myśli? O kim?... I potrafi myśleć przy niej o tamtej może...

A ona dla niego przepłakała najpiękniejsze lata...

Auto staje przed brudnym, małym żydowskim zajazdem.

Obie odczuwają prawdziwą przykrość, przebiegając ten próg, a potem wewnątrz pokoiku tanecznie umeblowanego... Jakgdyby ich wygnano w świat...

I pani Sulimirska myśli z żalem, że jednak było może lepiej zanocować w czystej, chociaż ubożuchnej chacie pod lasem.

* * *

Pani Sulimirska drżące usta przyciska do ciemnej głowy syna, ciężka opowieść minionych lat, bólu, nędzy, niedoli, legła poza niemi.

Tak cicho...

Jan, gdy kończył swoją opowieść, gdy doszedł w niej do ostatnich czasów, odczuł w całej pełni to, co dotąd snuło się w nim podświadomie prawie, odczuł, jak bardzo las mu duszę wziął, jak umiłował swoją nową pracę, swoje nowe życie, ile spokoju i siły spłynęło mu w duszę, jak drogim stał mu się dom i jego pogoda.

Tak cicho...

U okna Lo w noc patrzy ciemną, patrzy oczyma, które nie widzą, bo je przesłaniają łązy.

Z całej tej nędzy, niedoli, choroby wyłoniła się przed nią silna linja charakteru, który mimo wszystko nie uległ załamaniu. I Lo wie, przeczuwa to, że kochała człowieka, który był wart miłowania. Kochała niegdyś świetnego porucznika, a dziś duszę miłuje, tamtego można było zapomnieć, tego dzisiejszego już zapomnieć nie zdoła.

— I mówisz, że znalazłeś zadowolenie?

Głos matki drży i drżą ręce, tulące ciemną głowę syna.

— Tak, mamu, i równowagę.

— A jednak, Janku, o innym losie śniłam dla ciebie, o innej doli, o innym stanowisku społecznym i ciężko mi... Trudno pogodzić się z tem wszystkim. Jedź z nami, leczyć się trzeba koniecznie, zdrowego człowieka inaczej żyć nie możesz.

— Wiesz, mamusi, i nad tem zastanawiałem się nieraz i doszedłem do przekonania, że i to najlepiej, gdy zostanie tak, jak jest. W szpitalu widziałem kilku towarzyszy, którym odłamki granatu utkwiły w czaszce, lekarze dokonali trepanacji, przyszło ropienie, paraliż postępowy, męka, a wkońcu śmierć... A ja nauczyłem się znowu kochać życie... Kocham, matko, moje prawo duchowego rozwoju i dla niego i dla mego dziecka pragnę żyć.

— Przecież niezawsze trepanacja czaszki kończy się śmiercią. Ja również pracowałam w czasie wojny w szpitalu i widziałam wypadki, że chory sparaliżowany, niewidomy, odzyskiwał po usunięciu odłamka kości, czy granatu, władzę w członkach, odzyskiwał wzrok.

— Tak, ale jak mówisz, był sparaliżowany i niewidomy, nie miał wiele do stracenia, mógł zyskać jedynie zdrowie lub zupełne wyzwolenie.

— Przecież ty zdrowy, miałbyś znowu prawo do pełnego życia...

— Matko, a co jest pełnią życia?

— Dążenie naprzód...

— Tak, ale duchowo, a to można osiągnąć i w pustelni, nietylko w gwarze świata.

— A zdrowie?

— Zczasem może organizm przyzwyczai się do ucisku, natura sama sobie stwarza środki ochronne lecznicze.

— Przyjechałam tu, żeby cię z sobą zabrać... Przyjechałyśmy tu obie z Lo, po ciebie... Czy mamy wracać same?

— Dlaczego ty mnie tak męczysz... mamoo...

— Kocham cię...

O! jak te oczy patrzą w niego, ile jest w nich błagania... Wraca wspomnieniem życie dawne... Nie! Czemby był? Znowu chyba pasorzytem. Nie! zbyt silnie zapuściła dusza korzenie w tę glebę ojczystą.

— Czy po tem, co ci powiedziałem, mamoo, mogłybyście wracać nie same? Uczylaś mnie niegdyś, i wdzięczny ci za tę naukę byłem gorąco, że małżeństwo jest świętością...

— Ach, nie z taką Anielką przecież! Przeceniasz wrażliwość, wartość duchową swojej żony i swoje zobowiązania wobec niej.

Zmieszała się, dostrzegłszy spojrzenie syna zdziwione i smutne... Tak, w jego świetle dawnym istniała zawsze podwójna miara... odwyknął od niej i zabolą go. Pani Sulimirska spostrzegła, że sprawiła mu przykrość, więc dorzuciła:

— To wreszcie jedźcie ze mną oboje...

— Poco, mamoo? by utracić tę zdobytą z takim trudem pogodę duszy? Moja żona w waszym świecie pozostałaby zawsze obcą, śmieszna, a może wkońcu i mnie samemu wydałaby się taką. Człowiek jest tylko człowiekiem.

— Powinniście powrócić do nas, chociażby dla twojego dziecka. Czy to ma być też góral, chłop?... Jaki poziom wychowania... może dać taka Anielka...

— Poziom ucziwości i pracy.

— Więc mam dalej żyć sama, opuszczona?...

Pani Sulimirska płakała... ujął jej ręce.

— Przenieś się do nas, wybuduj dom w pobliżu.

Uśmiechnęła się przez łzy.

— Ja kocham miasto, kocham zdobycze kultury, nie potrafiłabym życia zaczynać na nowo... A taka sama jestem, Janku, taka sama...

Pochylił głowę ku jej rękom.

— Nie męczmy się wzajemnie, mamoo... Przyjedziesz czasem...

— Poślę ci twoją część, wybuduj sobie chociaż porządną dom na miejsce tej chaty strupieszalej...

— Ta strupieszala chata, mateczko, ma też pewien czar, poco miałabyś sobie odmawiać czegośkolwiek, uszczuplać się niepotrzebnie, na nasze proste życie wystarcza zupełnie to, co mamy.

— O nie! Wybudujesz sobie ładny dom, miły, słoneczny, w którym byłby pokój i dla mnie, gdy przyjadę uścisnąć wnuka... Boże! jak te lata lecą, jak lecą...

Przez brudne okno zajazdu wdarł się szary świt.

— Czy wrócisz do nas, mamoo, teraz, czy zostaniesz z nami przez jakiś czas?...

Bezradnie patrzą piękne jeszcze oczy. Kocha syna, o, bardzo kocha, ale nie wabi jej pobyt w tej chacie, przykucniętej u brzegu strumienia, lęka się braków, wygod, do których przywykła, przypomina się jej chleb czarny i kawa z palonego żyta, i ręce jej opadają pieszczotą na głowę syna.

— Na przyszły rok, kochanie, gdy będzie już nowy dom, słoneczny, miły, twój własny dom...

— I ten jest mój własny...

— Tak, ale ja w nim nie czułabym się u siebie.

— Ranek się robi, czas mi do domu, mamoo... Żebyś ty wiedziała, jak bardzo kocham mój las, moją służbę w nim, znam tam każde drzewo, każdy krzak, każde gniazdo... A jakie nieocenione są te ranki rośne, to powietrze pełne siły i woni, ta wizja gór... A wokół wszędzie natura rozwiera swoje tajniki, taka celowa jest we wszystkim, w każdym swoim przejawie, że człowiek wglądając w ten cud twórczy Boga, lepszy się czuje, spokojniejszy, doskonalszy.

— I nie tęsknisz za twoim dawnym światem?

— Za muzyką czasem, ale i tę z wiosną i w lecie tak sownie wynagradza las, szumią drzewa, ptaszki śpiewają, brzęczą muszki, las gra... i z tych tonów właśnie, co się przestrzenią snują, powstały dźwięki ludzkiej mowy, są to jej pierwotony.

— My też pojedziemy, prawda, Lo? Ja przynajmniej nie potrafiłabym oka zmrużyć w tej izbie, podwieziemy cię, Janku, a może... namyślisz się i pojedziesz z nami...

— Nie, mamoo.

Pochylił się do jej rąk i powtórzył cicho, ale z mocą:

— Nie, mamoo.

W chwilę potem auto wiozło ich w cudowną świeżość górskiego poranku, świat skrzył się rosa, smugi mgły snuły z gór ku błękitnemu niebu... a oto wdali snują się już dymy chat wiejskich, płyną ku błękitowi nieba od słońca rozzłocene.

Nagle drobna rączka Lo wyciąga się i oplata dłoń Sulimirskiego.

— Wie pan, nie zobaczymy się już zapewne w życiu... ale szczęśliwa jestem, że jest pan takim... jakim pan jest...

— Dziękuję pani za wszystko... Lo...

Spotkały się ich oczy na mgnienie...

— Tak, w życiu zawsze są... dymy, snują się ze zgłiszcz...

— Zanim się zgłiszcza w popiół zamienia... — dokończyła.

Jeszcze do rąk matki przylgnął pocałunkiem i wyskoczył, bo auto zatrzymało się przed chatą...

Chwilę patrzył, jak pędziło droga, smuga kurzawy zasłoniła mu wizję dwóch twarzy kobiecych, żegnających go z uśmiechem z za łez...

Sen...

Wszedł do chaty, Anielka rozpromieniła się radośnie, pocałował ją...

— No, widzisz, wróciłem...

A izba zdała mu się jakaś radosna i świąteczna, świątki ze ścian zdawały się oglądać na niego pogodą wielką: gospodarz wrócił!...

Dokończenie.

— Synu mój...

Przylgnął ustami ostrożnie do maluskiego czółka i pełń radości, słonecznej, czystej, weselnej była w nim.

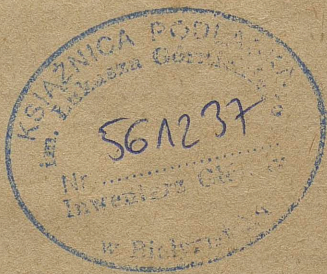
A z poduszki patrzyły bystre, ciemne błękitne oczęta i rozglądały się po nieznanym świecie.

Dymy.

Z za okien dochodziło postukiwanie młotków i siekier... to rósł nowy dom, własny dom, obszerny, dostatni i śmiał się czerwonym dachem, który kładziono właśnie, do starej chatyny, jak się dziecko do rodziciela śmieje. Przez zimę jeszcze stara chatyna ich będzie gościła, a z wiosną nowy dom się skończy i otworzy wierzeje. Trzeba się śpieszyć z dachem, bo jeno patrzeć jak śnieg zwali.

KONIEC.

Żywiec 1926.



„DLA WSZYSTKICH.“

Nowele, Podania, Legendy, Opowieści
Humoreski.

Serja A: Pisarze Polscy.

1. DOMAŃSKA, A. Złota przędza. Wydanie drugie —,45
2. — Kuglarz Matki Boskiej. Leg. Wyd. drugie —,50
3. — Krzyż w Probołowicach. Leg. Wyd. drugie —,45
4. — Ave Maria. Legenda. Wydanie drugie —,45
5. — Czeladnik majstra Szymona. Legenda. Wydanie drugie —,80
6. GLIŃSKI, K. Ostrzeżenica. Now. Wyd. drugie —,80
7. JESKE-CHOIŃSKI, T. Rycerz bandyta. Nowela. Wydanie drugie —,40
8. — Trubadur w pułapce. Now. Wydanie drugie —,45
9. JEZERSKI, E. O skarb Gwajkurów. Opowiadanie. Wydanie drugie —,80
10. — Za wiarę i ojczyznę. Opow. Wydanie drugie —,40
11. TUCHOLKOWA, St. Dziewica Orleańska. Powieść hist. Wydanie trzecie. Z ilustr. —,90
12. JESKE-CHOIŃSKI, T. Sąd Boży. Wydanie drugie —,40
13. DOMAŃSKA, A. Królewska niedola. Powieść hist. Wydanie trzecie. Z ilustracjami —
14. JAROSŁAWSKI, M. Odwet Drzymały. Nowela. —,15
15. — Szwabski niewolnik. Nowela. Wydanie drugie —,40
16. — Patrol wigilijny. Nowela. —,20
17. DOMAŃSKA, M. Siostra Hanna. Wyd. drugie —
18. — Żona ulana. Nowela. Wydanie drugie —
19. — Panienska ze dworu. Nowela. Wydanie drugie —
20. BAŁUCKI, M. Latawica. Nowela. —,35
21. — Za późno. Nowela. —,35
22. BOGDANOWICZ, E. Błękitna pantera. Z ilustr. —
23. — Sepie gniazdo. Opowiadanie. Z ilustracjami —
24. GOMULICKI, W. Strach. Opowiad. żołnierskie —,20
25. — Syrena. Opowiadanie —,15
26. — Sługa. Opowiadanie —,55
27. — Zakazane. Opowiadanie —,20
28. — Dlaczego mój znajomy nie mógł dotąd „pism” swoich napisać. Humoreska —,20
29. JASIŃSKI, K. J. Dawni ludzie. Opowiadania Z ilustracjami —,50
30. STODOR CEHAŁ, A. Czarna ściana. Nowela. —
31. MORAWSKA, Z. Skarbiec Faraona. Opowieść egipska —,40
32. ORWICZ, J. Gołębie. Szkic powieści. —,50

83. ORWICZ, J. Cyrograf. Nowela	-80
84. GLIŃSKI, K. Przeklęty rod. Nowela.	-80
85. - Ave. Nowela	-50
86. CIEMBRONIEWICZ, J. Mistrz Twardowski. Opowiadanie. Z ilustracjami	-75
87. WIERZBIŃSKI, M. Księżyna. Opowiadanie	-20
88. SEWER Zielona Latarka. Nowela.	-50
89. JACKOWSKI, N. M. Tumba. - „Ojciec nasz”. Opowiadania z puszczy amerykańskich	-35
40. - Marja Antonina. Humoreska brazylijska	-40
41. GLIŃSKI, K. Wielki szlem Wujaszek. Nowela	-25
42. KROPIWNICKA, C. Giewontowy Hufiec. Opow.	-50
43. SEWER. Mama sobie życzy. Nowela	1,10
44. GLIŃSKI, K. Murlaj. Nowela.	-15
45. - Kowalowa góra. - Na widęcie. Nowela	-25
46. WIERZBIŃSKI, M. Pięść Marcina Wilczka. Now.	-25
47. SEWER. Łusia Burlak. Nowela	-65
48. - Pierwszy utwór. Nowela	-40
49. GLIŃSKI, K. Pan Radca. - Filipek. Nowela	-30
50. SEWER. Na pobojowisku. Nowela	-90
51. GAWALEWICZ, M. Sprawa honorowa. Nowela	-60
52. - J861. Nowela	-80
53. JAROSŁAWSKI, M. Walczące widma.	-
54. KRASZEWSKI, K. Skuteczne wody. - Pokolei Humoreski	-
55. SZELBURG-OSTROWSKA, E. Legendy żołn.	-40
56. KRASZEWSKI, K. Wyprawa na żubry. - Plama. Humoreski.	-
57. KRZYŻANOWSKI, A. Za winy niepopłacone. Nowela	-60
58. KRASZEWSKI, K. Nehemi. - Reb Icek. Hum.	-
59. DOMAŃSKA, A. Orleń. Trzy opowiadania	-60
60. ŻEGOTA, R. Czarne uroki. Opowieść współcz.	-70
61. KRASZEWSKI, K. Trzewiczek. Nowela	-80
62. RELIDZYŃSKI, J. Z dni krwi i chwały. Now.	1,30
63. KORWIN, J. Zemsta. Nowela	-65
64. DOMAŃSKA, M. Dzwony - Śmierć Jana Chodora. Dwa opowiadania	-60
65. KRASZEWSKI, K. Białonóżka panamajora. Now.	-90
66. SOKOŁOWSKA, Z. Zaklęty młyn. Opowiadanie historyczne	1,20
67. WIERZBIŃSKI, M. Virtuti militari in. nowela.	1,20
68. SADOWSKA, A. Wiedźma. Nowela	-90
69. SZCZEPKOWSKI, J. Niebezpieczna podróż - Koleżanka. Nowela.	-90
70. ORKAN, W. Opowieść o płańetniku. Nowela.	1,40
71. SZCZEPKOWSKI, Z. Wrogowie ludu. Powieść.	-
72. REUTTÓWNA, M. W cygańskim obozie. Pow.	-90

73. SZCZEPKOWSKI, J. Wystuchani. Nowela	-70
74. JUNOSZA, KL. A. Pinkt i M. Sikora. Nowela.	-
75. BIRKENMAJER, J. Opowiadania starej Margoski. Nowela.	-
76. NIKOROWICZ, J. Pożar ziemi. Powieść.	-
77. CZESKA MACZYŃSKA, M. Dymy. Powieść.	-
78. WŁODKÓWNA, B. Cierpienie i radość. Nowela.	-
79. SMOLARSKI, M. Poszukiwacz złota. Powieść.	-
80. JUNOSZA, KL. Adjutant pana Macieja	-

Serja B: Pisarze Obcy.

Narazie ukazały się względnie ukażą się następujące numery:

000. GUYON, K. Przygody młodego wyspiarza	-
101. - Na dalekim Zachodzie	-40
102. HELLIN, P. Z tajemnic Egiptu	-50
103. DICKENS, K. Wytropiony	-80
104. COLLINS, W. Żółty tygrys	-40
105. GUYON, K. W krainie Gris-Gris	-40
106. - Nad brzegami Gangesu	-40
107. LINEL, K. Pierwsze pomysły wielkiego wynalazcy	-40
108. HELLO, E. Opowieści niezwykle	1,-
109. GOBINEAU, A. Gamber-Ali	-75
110. GUYON, K. W kraju diamentów	-40
111. SZOTT, A. Skarby olbrzyma. Baśń. angielskie.	-90
112. FARNEY, M. Wśród stepów i pustyni Mongolji.	-40
113. JANSON, G. Fantazja	1,30
114. SAMOY, R. Perła Wschodu	-50
115. PELLIER, H. Na tajemniczej wyspie	-50
116. DOREY, L. W głębi Indochin	-50
117. TOPELIUS, Z. Zeschły liść	-80
118. DEBASTE, R. Nad morzem Bretanji	-50
119. CRAIK, MRS. Snycecz z Bruges	-50
120. SAMOY, R. Ziszczone nadzieje	-50
121. SZOTT, A. Tom - Tit - Tot	1,10
122. CONWAY, H. Tajemnica Stradivariusa	-50
123. PELLIER, H. Młody Czarnoksiężnik	-50
124. TOPELIUS, Z. Gwiazdooka	-
125. GASKELL, E. C. Szara dama	-80
126. SAMOY, R. Wśród puszczy i śniegów Alaski.	-50
127. FARNEY, M. Przez pręje Kanady	-50

OGROMNY WYBÓR KSIĄŻEK DLA MŁODZIEŻY

Najulubieńszych Autorów Polskich i Obcych.

Bogdanowicz, Czeska, Domańska, Dyakowski, Margert, Korsak, Rosinkiewicz.

Cooper, Finn, Marryat, Verne, Wells.

Żądajcie do przejrzienia!

W Poznaniu:

w Księgarni św. Wojciecha
Plac Wolności 1.

W Warszawie:

w Księgarni M. Szczepkowskiego
Aleja Jerozolimska 39.

W Wilnie:

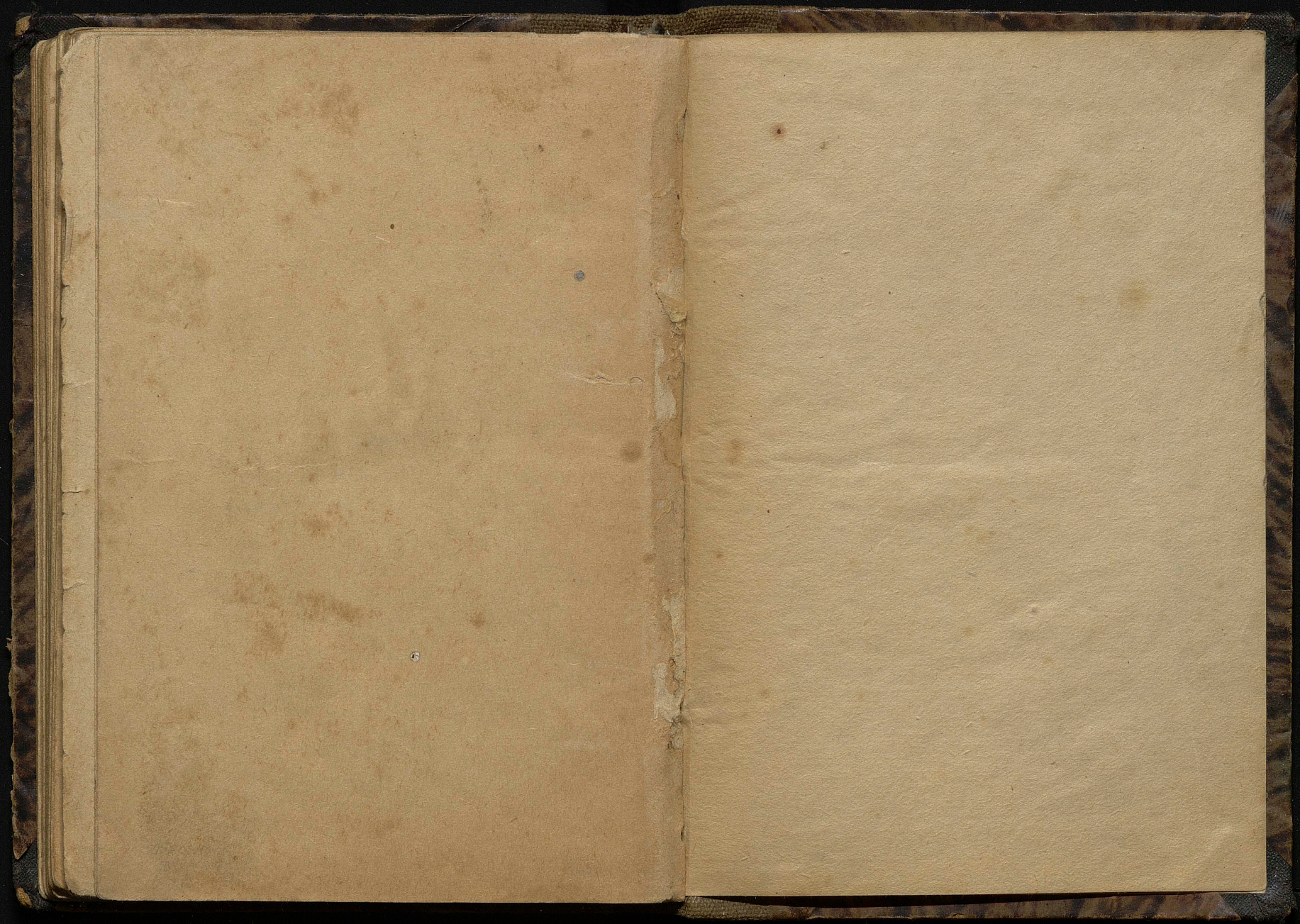
w Księgarni św. Wojciecha
Ul. Dominikańska 4.

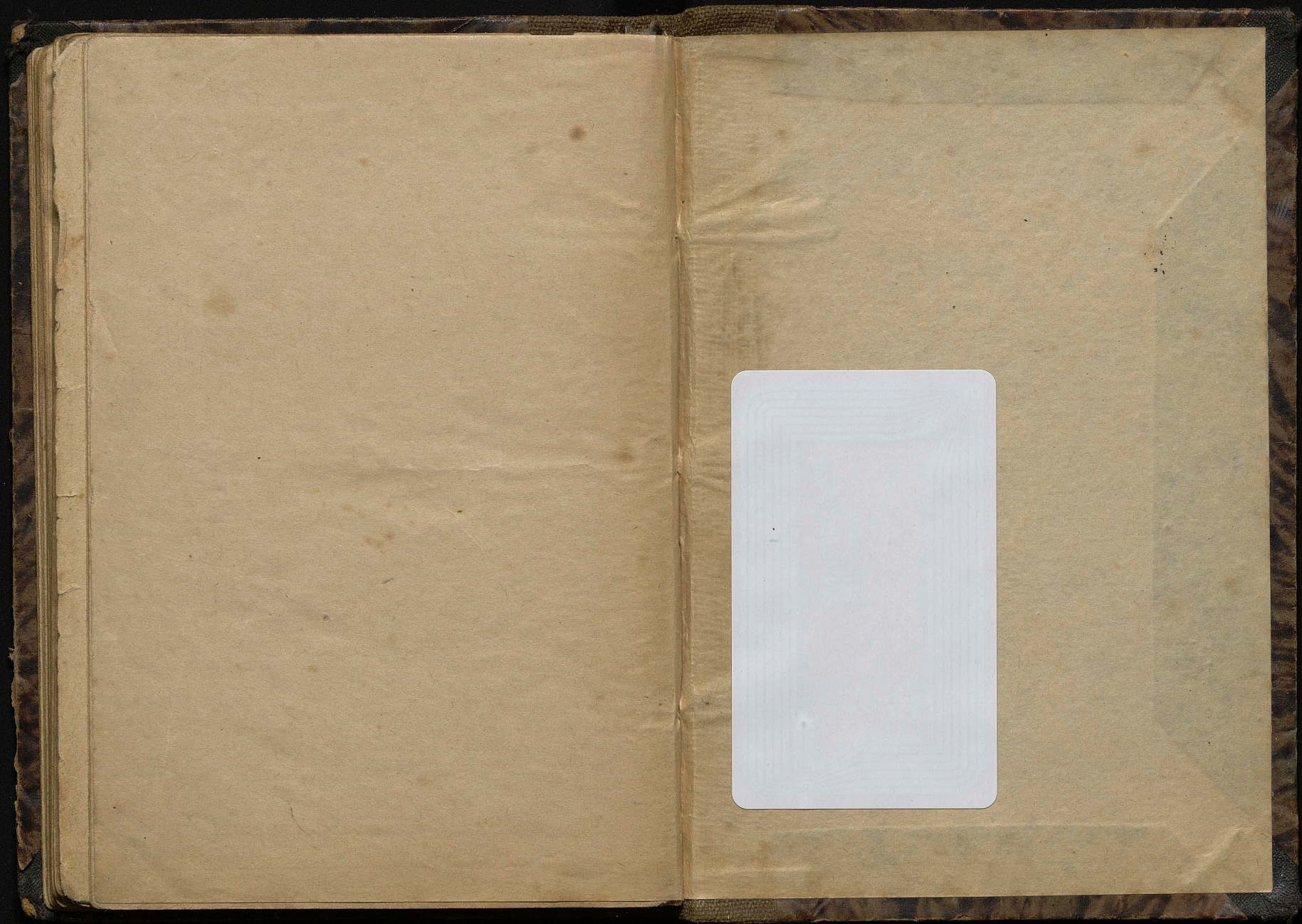
W Krakowie:

w Księgarni Krakowskiej
Ul. św. Tomasza 35.

W Lublinie:

w Księgarni św. Wojciecha
Krakowskie Przedm. 43.





561237

Książnica Podlaska
im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku



000614732